

Spis treści

Zobaczyć Kalabrię i umrzeć.....	2
Katuj! Tratuj! Ja przebaczę wszystko ci jak bratu. Męcz mnie! Dręcz mnie Ręcznie!.....	6
Śmieciowe nie-kitku.....	9
Nie pytaj mnie o Polskę.....	13
Io non sono l'amore.....	16
Chata Wuja Dino.....	22
Lekcja ekonomii.....	26
Cyberpunk 2020-2021.....	32
Pesce Spada.....	37

Zobaczyć Kalabrię i umrzeć

Gdy w 2018 roku zaczynałem robotę w Warszawie, myślałem, że zostanę tam na lata. No cóż, dwa to już lata, ale już pod koniec 2019 byłem gotów na zakończenie tej przygody. Pięknie i wspaniale jest pracować za ojczyznę po sześć dni w tygodniu, a czasem i po ponad dziesięć godzin dziennie, jednak uznałem, że mam dosyć tego zaszczytu.

Końcówkę 2019 roku zegnałem z dwoma planami w głowie:

- albo robię sobie jakieś pół roku-do roku przerwy i jadę podbijać Amerykę Południową;
- albo chwytam jakąś pracę, w której nie będę musiał bardzo wiele pracować, ale coś tam zarobię;
- albo celuję w jakiś kraj, który mnie interesuje.

Miałem nadzieję, że wygra opcja numer jeden, ale ponieważ jeszcze wtedy wydawało się, że wolne będzie można mieć zawsze, to przeglądałem miejsca, które oferowały jakieś posady.

Na początku 2020 roku rozpocząłem bardziej intensywne poszukiwania. Koncentrowałem się na Omanie – kraj wydawał mi się dość ciekawy do życia, przynajmniej na rok, a może dwa, do tego wynagrodzenia w tamtej części świata odbiegają od nadwiślańskich, z tendencją we wiadomą stronę. Recenzje pośród innych nauczycieli kraj też miał pozytywne, przynajmniej na tyle, żeby rozważyć go do życia. Powoli więc aplikowałem sobie na różne gigy w Maskacie (bo doniesienia zgodnie mówiły, że stolica nadaje się do życia, inne miasta już niekoniecznie) i czekałem, co też dobrego życie przyniesie.

Uogólniając, w mej cudownej branży zwyczajowo roboty zaczyna szukać się w kwietniu, żeby do końca czerwca coś ogarnąć – przeważająca większość krajów ma start we wrześniu. Idealnie więc kończymy jeden gig w czerwcu-lipcu, jedziemy na wakacje i mentalnie przygotowujemy się na nową robotę. Rok 2020 okazał się jednak być nieco odmienny od poprzednich. Niektórzy mówią, że może to mieć związek z takim mało znanym wydarzeniem, jakim była pandemia koronawirusa. W okolicach kwietnia ofert było zero, za to ludzi szukających pracy przybywało dość szybko. Nie wszyscy zostali od razu zwolnieni, niektórzy mieli przyjemność dowiedzenia się, że ich wynagrodzenia będą teraz niższe i jak im się nie podoba, to mogą wypierdalać. Ponieważ kierunek ww. czynności pozostawał owiany mgłą tajemnicy, to nauczyciele zazwyczaj zostawali. Szkoły letnie zostały w większości odwołane, więc dodatkowe źródło dochodu dla wielu przepadło. Sam byłem w o tyle komfortowej sytuacji, że miałem stabilny przychód comiesięczny. Ciągłe jednak przeglądałem ogłoszenia branżowe, wysyłałem się do wielu miejsc i nic z tego nie wynikało. Podobnie czyniło kilkadziesiąt znanych mi osób. Realia zdalnego nauczania sprawiły, że w okolicach lipca rozważałem zostanie pracownikiem fizycznym, bo uczenie siedmiolatków online to losy gorsze od śmierci. Z moich różnych wysyłek CV wynikało nic. Podobnie mówili ludzie z branży. Słyszałem, że nawet średnie ogłoszenia zbierały ponad 100, a bywało, że i 200 aplikacji. Wiele miejsc nawet nie szukając miało solidny wpływ CV – tak około 20 w tygodniu, jak powiedziała mi wtajemniczona osoba. Gdzieś w czerwcu jedna z hiszpańskich szkół zaoferowała mi sześciodniowy tydzień pracy. Uznałem, że nie jestem godzien. W sezonie letnim szkoły mogły zaoferować pracownikom, co tylko sobie umyśliły, a ci i tak by nie odmówili, bo alternatywą był burdel w Mołdawii lub budowa na Ukrainie.



Polski rząd opracowujący strategię walki z pandemią (Hieronim Bosch, Ogród ziemskich rozkoszy)

Gdzieś jakoś na początku sierpnia wysłałem się do Włoch. Jak jakieś 200 razy wcześniej nie chwyciło, to tu otrzymałem odpowiedź w ciągu nastu minut. Czy możemy pogadać? Tak, jasne.

Dzień i rozmowa. Pytania standard, ale atmosfera rozmowy fantastyczna. Jak wyszedłem, to powiedziałem Aligatorowi, że roboty pewnie z tego nie będzie, ale nigdy jeszcze się tyle nie pośmiałem na rozmowie kwalifikacyjnej.

Dwa dni później miałem drugą, tym razem z właścicielką szkoły. Tu się solidnie zdziwiłem, bo nie jest standardem pytać:

- jakimi słowami opisałaby cię twoja żona?
- co twój najlepszy przyjaciel ceni w tobie?
- co powiedziałaaby o tobie twoja matka?

Mogłem oczywiście odpowiedzieć szczerze, ale wtedy moje szanse na otrzymanie pracy spadłyby do wartości

negatywnych. Tak więc zmyślałem, co by mogli powiedzieć, gdybyśmy wszyscy spędzali weekendy czytając Prousta i parząc yerbę. Ponieważ zazwyczaj nie czytamy Prousta i nie parzymy yerby, to musiałem improwizować na bieżąco, bo powiedzenie, że można ze mną chlać dziwne rzeczy do szóstej rano raczej nie było wysoko punktowane. Dowiedziałem się też, że profesjonalnie, to ja jestem mniej więcej taką osobą, jaką by chcieli, ale boją się, czy szlag mnie nie trafi jak będę musiał żyć na południu Włoch, gdzie jedyną zorganizowaną rzeczą jest zasiłek dla bezrobotnych. Powiedziałem, że żyłem w takich bajzlach, że nie ma mowy, że zrobią na mnie wrażenie i że polecam Kazachstan zimą jeżeli chcą zrozumieć swoje miejsce w szeregu. Albo próby internetowania w Chinach. Nie, na pewno południowe Włochy nie są w stanie mnie znudzić ani wykończyć!

Pojechałem na urlop nie mając wielkich nadziei na więcej kontaktów z krajem Berlusconiego, chyba, że się do nich wybiorę na wakacje. Decyzję szkoły miałem otrzymać w ciągu dwóch tygodni.

Po tym czasie otrzymałem maila, że nie wiedzą i czy mogę poczekać. Odpisałem, że jasne. Dwa dni później to samo. Po kolejnych dwóch dniach - znowu. Był koniec sierpnia, więc umówiliśmy się, że powiedzą mi na dniach.

Na dniach odpisali, czy mogę jeszcze poczekać. Odpisałem, że niestety nie. Razem z Aligatorem musieliśmy coś zdecydować. Nasz wybór padł na Kraków. Znaleźliśmy mieszkanie, zapłacili zadatek, poszli ze znajomymi do ulubionych miejsc w mieście i nastawiali na rok czołgania. Miałem trochę pomysłów na parę rzeczy, ale średnio ekscytowała mnie wizja robienia tego w dobie zarazy. Tak więc minęły dwa dni i otrzymałem maila, który głosił, że jeżeli chcę robotę, to moja.

Szczęście, że rezerwacja mieszkania kosztowała tylko 100 PLN. Tyle mogłem odpuścić. Szczęście, że do Włoch nie jest bardzo trudno się dostać. Szczęście, że Aligator zgodził się, żebym pojechał na początek samemu. Właściwie ilość szczęścia, którą obdarzył mnie los, jest trudna do opisania.

W ciągu pięciu dni musiałem dwa razy przejechać połowę Polski, zdobyć zaświadczenie o niekaralności i jego tłumaczenie na angielski, kupić bilety na samolot i pociąg, spakować się, pożegnać, rytualnie upić z kolegami i dotrzeć na Balice.

Włochy są dość popularne, ale Reggio di Calabria nie jest. Ma lotnisko, ale we wrześniu obsługiwało ono tylko krajówkę. Najsensowniejszą opcją okazało się fruniecie do Rzymu i dojazd pociągiem do miasta docelowego. Mam takie niebywałe szczęście, że znam w Rzymie kogoś, kto mnie przygarnia,

załatwia dobre wyjścia i nawet robi jeszcze potem kawę o poranku. Tak było i tym razem. 13 września wsiadłem w pociąg i pojechałem do Kalabrii.

We Włoszech zaraza traktowana jest poważniej niż w Polsce, na Słowacji i na Węgrzech. Może to mieć jakiś związek z tym, że wielu Włochów wie z pierwszej ręki, że zimową porą w Lombardii słuchać było głównie dwa dźwięki: dzwony kościelne i sygnały ambulansów. Całkowite załamanie systemu opieki zdrowotnej też im się wryło w pamięć. Dlatego po pociągu chodziła policja i pilnowała, żeby każdy miał zasłonięte lico, a wysokość mandatów potwierdzała, że nie robią sobie jaj i że tu sąd nie będzie orzekał tak jak w sprawie pani w Suwałkach. Włoskie PKP (czyli Trenitalia) jest dość wygodne, a za trasę Rzym-Reggio di Calabria zapłaciłem 50 euro – nie grosze, ale i nie skandal. Nie dawali Prince Polo, ale kibel działał, klimatyzacja działała, a w Neapolu dało się wyskoczyć zapalić na peronie. W końcu o 20:35 dotarłem do Reggio di Calabria.

Z dworca odbierała mnie właścicielka szkoły. Nawet gdy wsiedliśmy do samochodu, nie zdjęliśmy masek, chociaż jedno z nas chciało, ale drugie było przeciwko. Trwało święto lokalnej Matki Boskiej, ulice pełne były ludzi, którzy raczej się socjalizowali, a nie modlili. Gdy dojechaliśmy do mej nowej siedziby, właściciel mieszkania też był w masce. Przekazał mi klucze i pokazał szybko, gdzie kuchenka, gdzie pralka, a potem upewnił się, że odróżniam bidet od sracza i pożegnaliśmy się. Odebrałem jeszcze powitalny pakiet z jedzeniem i rozpocząłem nowy rozdział życia.



Masz i nażryj się, chamie!

Ku memu zaskoczeniu, mieszkanie było o wiele większe niż na zdjęciach. Było też całkiem ładnie wyposażone. Spodziewałem się ciosu między oczy, a przynajmniej między łopatki, a tu nie. Specyficzny zapach sugerował, że właściciel nie kłamał mówiąc, że ozonował dwa razy – cokolwiek to znaczy i jaki też ma wpływ na zarazę.

Wyszedłem na wielki taras, zapaliłem sobie i popatrzyłem na zarys Sycylii. Jakby nie było, to najlepszy widok jaki miałem w życiu – pomyślałem i poszedłem w miasto.



W oddali - nie Kalabria

Dochodziła 22, a suma doświadczeń życiowych jest taka, że we Włoszech nie ma sklepów całodobowych. Może to być związane z tym, że panuje tu dziki socjalizm i za pracę w niedzielę wieczorem trzeba zapłacić nieco więcej niż żeby się opłacało trzymać pracownika, który utargu zrobi dwa Harnasie i paczkę Chesterfieldów. Pochodziłem więc po mieście i stwierdziłem, że jest znacznie mniej koszmarnie niż mówili mi podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Potem stwierdziłem, że się zgubiłem, aż w końcu się znalazłem. Mimo godzin wieczornych panował upał – przynajmniej na mojej skali, bo na lokalnej, to panie przywdziewały sweterki.

Dobrze, to więc jest dom na następne dziesięć miesięcy – stwierdziłem po przejściu przez prysznic i położeniu się w bardzo nie proletariackim wyrze.

Katuj! Tratuj! Ja przebaczę wszystko ci jak bratu. Męcz mnie! Dręcz mnie Ręcznie!

Polacy uwielbiają przeklinać jakiekolwiek podatki, którymi uszczęśliwia nas nasz kraj. Rodacy mają tendencję do mówienia, że oddanie czegokolwiek na państwo, to rozpasany komunizm i hodowanie urzędasów. Odczucia te mogą być po części powiązane z jakością np. służby zdrowia, jaką kraj oferuje. Oczywiście co jakiś czas człowieka walnie między oczy, że roczna winieta na jeżdżenie po austriackich autostradach kosztuje 91,10 euro, co przy cenach dróg w Polsce jest niesamowitą okazją.

Co jest dość ciekawe, na skali Europy wcale nie mamy tak źle, ale ludzie nienawidzą płacić czegokolwiek na rzecz kraju. Dobrze wiemy, że nasze pieniądze idą na Sasinalia i banki, a nie na szkolnictwo i służbę zdrowia. Usłyszenie od Brytyjczyka lub Kanadyjczyka, że nie ma problemu z podatkami, nie jest zjawiskiem unikatowym. Znam parę osób w Polsce, które mogłyby powiedzieć to samo, ale jest to mniejszość.

Chciałbym jednak zobaczyć miny ludzi, niekoniecznie Korwinistów, którym przyszłoby organizować życie we Włoszech.

Po pierwsze, żeby legalnie pracować potrzebny jest numer podatkowy. Szkoła zorganizowała nam wspólną wyprawę po ten magiczny papier. Spotkaliśmy się o 9 przed teatrem miejskim i ruszyli do pobliskiego biura podatkowego. Dość szybko okazało się, że wiele z tego nie będzie: w ramach



(źródło: <https://gifvagusi.pl/gif/memy/janusz-korwin-mikke/>)



(źródło:

<https://paczaizm.pl/content/wp-content/uploads/kolejka-albo-psikus-kwasniewski.jpg>)

walki z zarazą włoskie urzędy zredukowały dni pracy do dwóch w tygodniu. Pocałowaliśmy więc klamkę i rozeszli się do domów. Drugie podejście, w kilka dni, później poszło nieco lepiej. Umówiliśmy się o 8:30, o 9 przed urząd wyszedł pan w mundurze i zrobił listę kolejkową. Otrzymaliśmy zaszczytny numer 47 i stanęli na krawężniku. Ponieważ żadnej tablicy nie było, procedura wyglądała tak, że pan wychodził, podawał numer i nazwisko, a wywołana osoba dostępowała zaszczytu wejścia do urzędu. Lista szła nawet szybko, bo wiele osób po zapisaniu się poszła na kawę i często ich nie było, gdy wywoływano ich szczęśliwy numer. Po niecałej godzinie nastąpiła nasza kolej, weszliśmy i otrzymaliśmy święty numer podatkowy. Po odkryciu miejsca mej produkcji, pan urzędnik skomplementował Kraków, że spędził tam wspaniałe wakacje kilka lat temu. Powiedzmy, że poszło to sprawnie.

Jedną z rzeczy, którą zaobserwowałem już pierwszego dnia mego pobytu we Włoszech, był brak internetu w mieszkaniu. Właściciel powiedział, że mogę dostać modem do karty SIM i ogarnąć sobie łącze z telefonii komórkowej.

Śmiem powiedzieć, że jeszcze przed pandemią internet wpisałbym na listę rzeczy tak niezbędnych do życia, jak woda i prąd, a przy tym, ile uczenia obecnie odbywa się online, uważam, że posadzenie nauczyciela w mieszkaniu bez dobrego łącza to bardzo dziwne rozwiązanie. W podobnej sytuacji znalazły się jeszcze dwie znane mi osoby.

Podobno podpięcie internetu we Włoszech trwa długo. Rezygnacja jeszcze dłużej. W efekcie ludzie specjalizujący się w wynajmie krótkoterminowym (czytaj: dziesięć miesięcy) nie chcą zakładać sobie na szyję pętli internetowej. Zanim w końcu udało mi się dotrzeć ze współpracowniczką do salonu telefonii komórkowej minęły cztery dni. W tym czasie korzystałem z internetu w szkole, a gdy naszała mnie potrzeba wieczorem, siedłem około dziesięciu minut pod McDonald's. Przypomniały mi się czasy życia w Gruzji, gdzie po paru miesiącach miałem rozpracowane całe Tbilisi pod kątem dostępu do Wifi. Tylko to była Gruzja w latach 2011-12, a nie kraj UE w 2020.



(źródło:

https://i1.memy.pl/obrazki/5c66770600_o_rany.jpg)

Ostatecznie zdobyłem kartę SIM z planem taryfowym 50GB w niegorszej cenie 9,99 euro za miesiąc. Pan zaoferował mi numer z odzysku, żeby było taniej i spytał, czy się zgadzam. Powiedziałem, że jest mi to obojętne. Co mnie zdziwiło, powiedział, że po odbiór karty SIM miałem wrócić po paru godzinach, bo ją trzeba wyczyścić i ponownie aktywować. Potem zaś mogłem zapłacić 15,99 euro za aktywację karty. Zemdlałem, bo takich opłat w Polsce nie widziałem w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Ba, w żadnym znanym mi kraju nie golą tak strasznie za kartę SIM.



Haracz 2 euro za opłacenie comiesięcznego czynszu

Cały mój pierwszy tydzień naznaczony był tak radosnymi opłatami. Rejestracja umowy najmu mieszkania kosztuje 98 euro. Sumę tę pokrywa się pół na pół z właścicielem mieszkania. Ta radość ma dalsze odcinki: gdy co miesiąc płacę za moje mieszkanie, muszę wnieść opłatę za znaczek skarbowy. Kosztuje 2 euro, co może nie jest fortuną, ale ilekroć widzę ten znaczek, to mnie trafia.

Inną okazją do rozstania się z dwoma euro jest płacenie za prąd. Sprawa nie jest skomplikowana, idzie się do sklepu z papierosami, płaci rachunek i opłatę za wniesienie opłaty.

Inną konieczną do załatwienia rzeczą było konto bankowe. Pierwsza wizyta w banku zakończyła się częściowym powodzeniem: po godzinie moja brytyjska współpracowniczka wyszła z kartą i bankowością internetową, ale okazało się, że karta przeznaczona dla mnie już do kogoś należy. Pan wyjaśniał, że to nie ma prawa się zdarzyć. Niemniej zdarzyło się. Do banku musiałem wybrać się ponownie, ponownie podpisać się około dwudziestu razy (nie przesadzam) i mogłem już odebrać kartę, którą podobno skasowali tej drugiej osobie. Z duszą na ramieniu wziąłem kawałek plastiku i stwierdziłem, że chyba ledwo przyjdą jakieś pieniądze, to będę musiał wszystkie wypłacić. Tu nieco

pomógł mi bank, bo z pierwszego przelewu skasował mi 26,99 euro opłaty za prowadzenie konta i posiadanie karty prepaid. Karta ma limit 5000 euro (przekroczenie go przy mojej pensji raczej mi nie grozi) i jest to po prostu prepaid klasy mniej więcej kart wydawanych przez BZ WBK w okolicach roku 2008. Wówczas kosztowały one 10-15 PLN. Dlaczego w 2020 roku we Włoszech płacę aż tak wiele? Nie wiem. Kusi mnie napisać do Giuseppe Comte z pytaniem albo dwoma. Mój bank to zresztą grupa fajnych komedianów, bo ilekroć wypłacam pieniądze z bankomatu, to otrzymuję pytanie, czy chciałbym złożyć datek np. na włoskich muzyków poszkodowanych przez Covid.

Od wielu lat zafascynowany byłem włoskim fenomenem coperto, czyli „napiwku” doliczanego do rachunku. Nie jest to napiwek, tradycyjnie jest to opłata za używanie stołu, obrusa i sztuczków. Jeżeli pójdziemy do ładnej restauracji i za posiedzenie mamy jakieś 15 euro, to coperto w wysokości 2 euro jest w miarę do przyjęcia. Mój problem zaczyna się, gdy trafiaam do restauracji, gdzie do rachunku na poziomie 8 euro dostaję coperto w wysokości 2,5 euro, a jedzenie może być podane i na tekturze. Absolutnym rekordem jest kawiarnia w centrum Reggio, gdzie do kawy za 0,8 euro zapłaciłem coperto w wysokości 1 euro. Gdyby jeszcze obsługa powalała szybkością i fachowością, to dobrze, ale jeżeli jest się ignorowanym, dania podawane są na odwal się, a jakość jedzenia jest taka sobie, to mam pewne kłopoty z dawaniem 20% napiwków. Powoli człowiek się uczy, że np. kawa wypita na stojąco przy barze nie zostaje obciążona coperto, ale przy stoliku już tak. Jakiś sens i logika w tym jest, ale na litość boską...

Inną radością jest servizio, czyli za przyjście do restauracji w większej grupie osób. Ten piękny zwyczaj trafił i do Warszawy, gdzie np. restauracja Shuka dolicza do rachunku 15% dla grup większych niż cztery osoby. Restauracja Shuka jest świetna i warta nawet większych pieniędzy, ale tendencja do walenia opłatami za przyjście do lokalu mnie odrzuca.



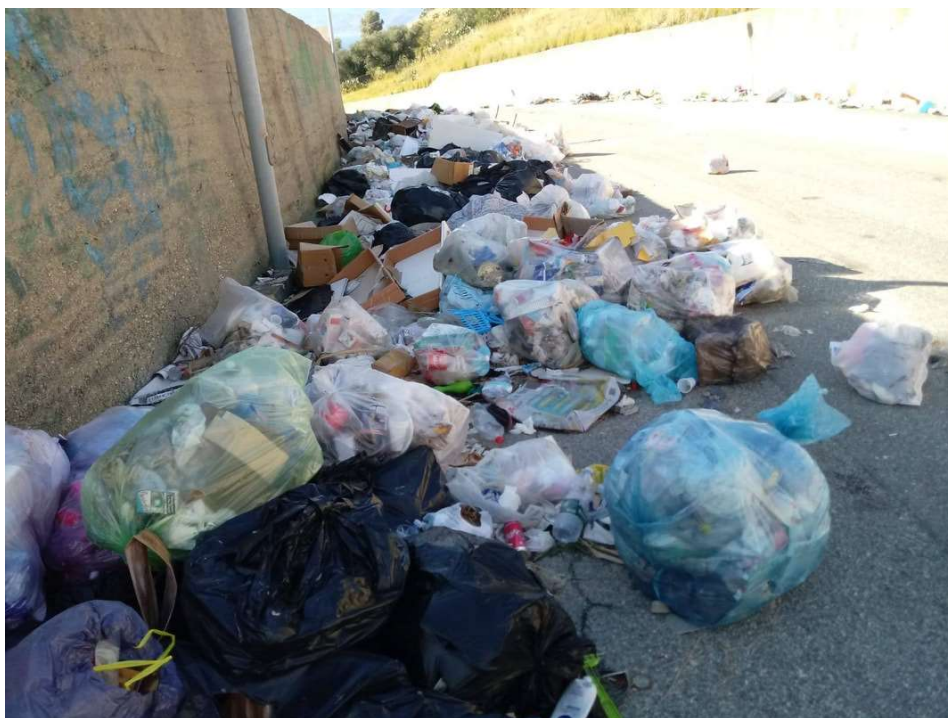
(źródło:

https://pobierak.jeja.pl/images/d/9/4/435422_ale-ze-mnie-dobry-czlowiek.jpg)

Jestem pewien, że suma opłat jakie do tej pory złożyłem na rzecz państwa włoskiego i różnych prywatnych podmiotów tu funkcjonujących nie została jeszcze wyczerpana. Nie mam wątpliwości, że jeszcze nieraz mnie walną między oczy. Pozostaje nadzieja, że będzie to bliżej 2 niż 98 euro.

Śmieciowe nie-kitku

Co jakiś czas słyszę „ooo, ale ci fajnie, mieszkasz we Włoszech”. Większość ludzi ma obraz Włoch w stylu wybrzeża Amalfi i Florencji. Kalabria jest nieco inna. Pierwsze, co się rzuca w oczy, to śmieci. Tony śmieci dosłownie wszędzie, nawet na głównych ulicach miasta. Trudno nie być zaintrygowanym, gdy już od pierwszego dnia mija się ogromne sterty worów, które we wrześnieowym upale potrafiły tak cuchnąć, że można było dostać torsji. Zgłębiłem sprawę i udało mi się ustalić kilka rzeczy.



Idziesz na spacer na przedmieścia i znajdujesz to.

Teoretycznie wprowadzono dość niedawno system odbioru śmieci spod drzwi. W świecie idei co wieczór przyjeżdża śmieciarka i odbiera posegregowane odpady. W poniedziałek biorą plastik i metal, we wtorek śmieci organiczne, w środę zmieszane, w czwartek znowu organiczne, w piątek papier, a w sobotę organiczne. Organiczne tak dominują, bo trudno żyć z gnijącą rybią głową, gdy na zewnątrz jest ponad 30 stopni. Efektem tych zabaw jest to, że po tym jak posiedziałem dwa dni z gnijącym miecznikiem, to tydzień później uznałem, że jednak na kolację kupię sobie wersję bezmięsną, bo nie chciałem mieć powtórek.

Godzina, której wyczekujemy, to gdzieś pomiędzy 19 a 21, wtedy to powinna pojawić się śmieciarka i zabrać, co wystawiłeś. Czasem jednak śmieci nie zostaną odebrane i gdy wychodzisz następnego dnia rano, czekają na ciebie twoje zalane deszczem papiery. Następnego dnia odbierane jest organico, czyli papieru nie wezmą, więc w efekcie będzie leżał tydzień. Ponieważ mnie to razi, to w takich sytuacjach wynoszę śmieci do kosza na głównej promenadzie. Nie jestem jedyny, więc nierzadko kosz się przesypuje. Śmieci miejskie z głównych ulic odbierają codziennie, więc przynajmniej wiem, że znikną one w ciągu nocy. W grudniu stworzono niedaleko nas zieloną wyspę, na którą można wynosić co tylko się chce w dowolnych ilościach, więc po dwóch miesiącach horroru „jeszcze trzy dni, a ja już mam dwa worki plastiku, co robić?”, nadeszła ulga.

Jeżeli ktoś przeczytał bardzo uważnie, to na powyższej liście brakuje szkła. Szkło jest odbierane średnio co dwa tygodnie. We Włoszech nie istnieje instytucja butelki zwrotnej, więc po tym jak w październiku moja kolekcja opakowań szklanych sięgnęła połowy kuchni, to metodycznie zacząłem wynosić je do koszy miejskich, z duszą na ramieniu, że nikt mnie nie uszczęśliwi mandatem.



Città di Reggio Calabria
Assessorato all'Ambiente



DIFFERENZIAMOLA
Insieme per fare la differenza

IL CALENDARIO PROVVISORIO / GENNAIO 2021
 DELLA RACCOLTA DIFFERENZIATA PORTA A PORTA

AREA 1

RACCOLTA NOTTURNA

- **VETRO CS:** CENTRO STORICO
(via Reggio Campi II° tronco
fino a via Don Orione lato mare)
- **VETRO T:** PINETA ZERBI -
TREMULINI - EREMO
- **VETRO S:** SANTA CATERINA -
SAN BRUNELLO
- **VETRO C:** CATONA
(escluse Villa S. Giuseppe, Salice,
Rosali, Argilla)
- **VETRO G:** GALLICO (escluse
palazzine Poste) Sambatello

I contenitori devono essere esposti
DALLE ORE 19:00 ALLE ORE 21:00 e
rimossi ad avvenuto svuotamento.



SERVIZIO DI RACCOLTA PER
PANNOLINI E PANNOLONI

Per le zone dell'AREA 1 il ritiro supplementare
verrà effettuato il SABATO [oltre al mercoledì
previsto da calendario] Servizio su richiesta
tramite e-mail ad igiene.reggio@avrgroup.it.

È VIETATO USARE I SACCHI NERI



1	VENERDI CARTA E CARTONE	12	MARTEDI ORGANICO	23	SABATO ORGANICO
2	SABATO ORGANICO VETRO C,G,T	13	VENERDI INDIFFER.	24	DOMENICA
3	DOMENICA	14	GIOVEDI ORGANICO VETRO G, T	25	VENERDI MULTIMAT.
4	GIOVEDI MULTIMAT.	15	VENERDI CARTA E CARTONE	26	MARTEDI ORGANICO
5	MARTEDI ORGANICO	16	SABATO ORGANICO VETRO C	27	VENERDI INDIFFER.
6	VENERDI INDIFFER.	17	DOMENICA	28	GIOVEDI ORGANICO VETRO G, T
7	GIOVEDI ORGANICO VETRO S, CS	18	GIOVEDI MULTIMAT.	29	VENERDI CARTA E CARTONE
8	VENERDI CARTA E CARTONE	19	MARTEDI ORGANICO	30	SABATO ORGANICO VETRO C
9	SABATO ORGANICO	20	VENERDI INDIFFER.	31	DOMENICA
10	DOMENICA	21	GIOVEDI ORGANICO VETRO S, CS	PORRE ATTENZIONE AI GIORNI VICINI ALLE FESTIVITÀ, PER EVENTUALI VARIAZIONI DI RACCOLTA.	
11	GIOVEDI MULTIMAT.	22	VENERDI CARTA E CARTONE		

Secondo le disposizioni fornite dall'Istituto Superiore di Sanità sul Nuovo coronavirus, **SI PRECISA CHE CHI NON È RISULTATO POSITIVO DEVE CONTINUARE A DIFFERENZIARE CORRETTAMENTE I RIFIUTI SOLO CHI È POSITIVO O IN QUARANTENA OBBLIGATORIA. NON DEVE DIFFERENZIARE PIÙ I RIFIUTI.** al riguardo deve utilizzare due o tre sacchetti possibilmente resistenti, (uno dentro l'altro) all'interno del contenitore utilizzato per la raccolta INDIFFERENZIATA, indossando guanti monouso e chiudendo bene i sacchetti. Una volta chiusi i sacchetti, i guanti usati vanno gettati nei nuovi sacchetti preparati per la raccolta indifferenziata. Subito dopo è necessario lavarsi le mani.

Per altre informazioni sono attivi:
 l'e-mail igiene.reggio@avrgroup.it, il numero verde 800.759.650,
 la pagina facebook **DifferenziAMola Reggio Calabria** e l'app mobile **DifferenziAPP**.



POR Calabria
2014-2020
Fesr-Fse
il futuro è un lavoro quotidiano



UNIONE EUROPEA
FONDI STRUTTURALI E INVESTIMENTO EUROPEO



REPUBBLICA
ITALIANA



REGIONE
CALABRIA

Protokoły Mędrców Kalabrii, czyli rozpiska kiedy co jest odbierane

Ten opis sytuacji odnosi się do centrum miasta, gdzie system porta a porta w miarę działa. Za to odejście od głównych ulic powoduje odkrycie dramatycznych hałd worków ze śmieciami. Jak wspomniałem, śmieci cuchną, po worach łążą szczury i bezdomne koty. Jeżeli jakimś cudem coś czasem posprzątają, to za kilka dni lokalni rozpoczynają ponowne składowanie odpadów i w ciągu dwóch tygodni sterta odrasta do pierwotnych rozmiarów. Nawet w Azji nie widziałem takiego dramatycznego syfu, jaki oglądałem każdego dnia w Kalabrii. Trudno uwierzyć, że ten kraj należy do jakiejś Unii Europejskiej i ogólnie jest postrzegany jako poważne państwo, gdy jakieś dwa kilometry od centrum widzi się bandy dzikich psów rozgrzebujące śmieci. Protesty mieszkańców odbywają się średnio co dwa-trzy tygodnie. Niektóre dzielnice (np. Gallico, według moich dorosłych studentów tam jest absolutnie najgorzej) nie mają żadnych śmieci odbieranych tygodniami. Cały czas mówimy tutaj o stolicy regionu, oddalenie się od Reggio di Calabria powoduje odkrycie jeszcze większych poziomów dramatu – ludzie wyrzucają śmieci, których nikt nigdy nie odbierze, bo tereny nie podpadają nawet pod fikcyjną jurysdykcję zarządzania odpadami. Tam to dopiero nabiera rozmachu, można znaleźć nawet pralki i lodówki.



Ser należy koniecznie zapakować w plastik dwa razy większy od sera

Do problemu dokłada się chora mania pakowania wszystkiego w obłędne ilości folii, a przede wszystkim styropianu; ser, banany, mandarynki, a nawet i pojedyncze papryki, to wszystko sprzedawane jest na styropianie owiniętym folią. Rezultat? Już pod marketem rozpakowuję mandarynki, cebule, czosnek i wyrzucam to wszystko do śmietnika, żeby nie nosić ze sobą do domu, bo i tak zawsze śmieci mam więcej niż bym mieć chciał.

Uzupełnieniem wątku odpadów jest system kanalizacyjny, który za bardzo nie działa, więc w czasie bardziej intensywnego deszczu (średnio raz na dwa tygodnie) niektóre ulice zamieniają się w rwące potoki. Wtedy śmieci ujawniają się z całą swoją siłą i mocą, płyną wesołym strumieniem do morza. Bez ulew też jest wesoło, na miejskiej plaży można znaleźć dowolne odpady, w tym porzucone lodówki. Przebojem sezonu 2020-2021 są maski chirurgiczne, których setki poniewierają się wszędzie, a morze niespiesznie wyrzuca kolejne.

Gdy wydarzyło się to po raz pierwszy, to pozwoliłem sobie zapytać moich dorosłych uczniów, czy trochę ich to, kurwa, nie razi, że przez centrum miasta płynie rzeka śmieci, wody w niektórych miejscach jest po kostki, a smród wywołuje torsje. Dowiedziałem się, że w sumie nie, że tak zawsze było i że w Kalabrii są dwa stany wody: powódź lub susza.

Jedyną rzeczą, za którą jestem wdzięczny w tym wszystkim jest to, że temat śmieci to taki kalabryjski small talk. Nie wiesz jak zacząć lekcję z dorosłymi? Zadajesz pytanie: czego wam ostatnio nie odebrali? Uczniowie zaczynają się wściekać, krzyczeć, licytować, gdzie jest gorzej (słabiej to działa w grupie Intermediate, gdzie jedna osoba mieszka w Gallico i zawsze wygrywa).

Poznajesz nową osobę?

A u ciebie kiedy biorą szkło? W ogóle nie biorą? O, to jak u mnie!

Jak ci się podoba w Kalabrii?

Bardzo, tylko te śmieci...

PANIE, to kiedyś było jeszcze gorzej!!!

Obstawiam, że zyski z nie-odbierania śmieci są gigantyczne, a metoda odbioru odpadów nieco nawiązuje do słynnego cytatu z Lampedusy: Jeśli chcemy, by wszystko zostało, jak jest, wszystko musi się zmienić. System porta a porta ma dopiero kilka miesięcy i został on sprzedany mieszkańcom jako rozwiązanie wieloletniego kryzysu śmieciowego. Oczywiście nie jest on dany za darmo, każdy płaci za to, że może najpierw posegregować odpady, a potem wyrzucić je do morza lub do kosza miejskiego. Dlatego znoszę go spokojnie, bo w dobie zarazy, Włochy mają nieco inne problemy niż to, że Kalabria postanowiła zaśmiecić się na śmierć.



Widoki z romantycznego spaceru po Kalabrii

Nie pytaj mnie o Polskę

Gdy w 2018 roku brałem pracę w Warszawie, myślałem, że zostanę tam na dobre. Sprawy nie wyglądały źle. Pisanie o mieszkaniu w stolicy Polski nie wydawało mi się specjalnie ciekawe, więc o nim nie pisałem. Jednak w 2020 roku życie poskładało się tak, że ponownie wyjechałem z kraju przodków. Minęła już chwila, a ja bardzo dobrze przypominałem sobie jeden z najtrudniejszych aspektów życia za granicą i pracy z ludźmi z innych krajów:

Odpowiadanie na pytania o Polskę.

Zazwyczaj nie ma wielkich problemów, bo ludzie pytają czysto kurtuazyjnie i oczekują w odpowiedzi, że w porządku. Przeciętnego Brytyjczyka lub Irlandczyka Polska obchodzi, co najwyżej, jako źródło wódki i taniej siły roboczej do zrywania azbestu. Tych bardziej awanturniczych jako miejsce, gdzie można się tanio nawalić i iść do burdelu. O Kanadyjczykach i Australianach nawet nie mówię, dla wielu z nich Laos jest ważniejszy od Polski. Wydawałoby się więc, że problemów nie będzie, ale w tym odcinku moich przygód pracuję z paroma osobami, które niegdyś mieszkały w Polsce. Kojarzą geografię kraju, a przede wszystkim tę cudowną specyfikę polskiej rzeczywistości. Są więc głodni wiadomości z dziczy, tak jak widzowie telewizyjni chcą materiałów o katastrofie humanitarnej w Gomie, Karabachu i Syrii. Im więc nie mogę odpowiadać, że w porządku, bo oni wiedzą, kto był największym papieżem i prezydentem tysiąclecia. Im muszę podawać trochę ciekawszych wiadomości, bo nie chcieliby, żeby im przepadło jakieś wielkie odkrycie polskiej myśli społeczno-politycznej XXI wieku. Wtedy do rozmowy włączają się też ci, którzy o Polsce wiedzą tyle, co Polacy o Mołdawii i zaczyna się katastrofa.



(źródło: <https://demotywatory.pl/4793761/Moj-kraj-taki-piekny>)

Na rok 2020 przeciętny obywatel zachodu kojarzy nasz kraj z tym, że jesteśmy porównywalnie przyjaźni dla LGBT jak III Rzesza – to dzięki kampanii pana prezydenta Dudy. Było w gazetach, telewizji i w mediach społecznościowych. Ci mniej wtajemniczeni pytają, czy to prawda, że twój prezydent powiedział, że..., a ja wtedy prostuję, że nie mój, a poza tym, że tak. Ci zaprawieni w bojach z Polską nie pytają, bo wiedzą, że to prawda. Amatorzy mają czasami nawet wersję solidnie light, więc gdy wprowadzam jakieś poprawki do niej, to więdną na całego. Na to oczywiście ci znający Polskę kiwają głowami i mówią, że standard i w sumie można się było spodziewać. Jednak nawet z nimi nie jestem w stanie rozmawiać szczerze, bo jak mogę wytłumaczyć poważnym, dorosłym emigrantom z rozwiniętych krajów zachodnich, zjawiska endemiczne dla mej ojczyzny. W ciągu ostatnich trzech tygodni musiałem wyjaśniać już następujące ewenementy naszego życia społecznego:

Sasin przewalił 70 milionów na wybory, które się nie odbyły – to wiąże się z wyjaśnianiem, że wybory miały być na moje urodziny 10 maja, ale zaraza, jednak partia rządząca kombinowała, żeby się odbyły korespondencyjnie, więc wydrukowali karty do głosowania, potem okazało się, że karty łatwo zrobić

sobie w domu, potem część koalicji rządzącej odmówiła za zagłosowaniem za takim rozwiązaniem, co spowodowało, że nie doszło do wyborów, ale za to doszło do perturbacji na stanowiskach ministerialnych...

Raz zapuściłem się w wyjaśnianie fenomenu Gowina, który słyszy płacz zarodków i któremu czterokrotność średniej krajowej nie wystarcza do życia. Nigdy więcej. Interlokutor myślał, że robię sobie jaja i że wymyślam jakieś brednie, żeby go zaszokować jaka ta Polska niby pojebana.

Kraśnik jako strefa wolna od LGBT to w miarę wpasowuje się moim rozmówcom w ich obraz Polski. Niestety, ustawa o 5G i wifi w szkołach już ich przerosła. Znowu myśleli, że wymyślam.

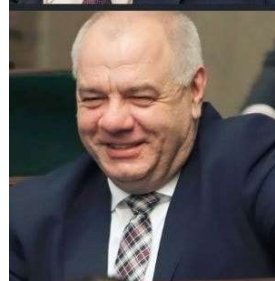
Ustawa futerkowa, której kontrowersyjności nie mogą zrozumieć ludzie z krajów, w których takie regulacje obowiązują od wielu lat.

Fenomen prezydenta Dudy i jego relacji z szeregowym posłem – myślę, że tego nie zrozumieliby nawet ludzie ze wschodu. Takiemu serialowi „House of Cards” (temu brytyjskiemu z 1990 roku) wydaje się, że jest bardzo zawiły i że jest tam niesamowity poziom intrygi politycznej. Amatorzy!

Fenomen premiera i jego relacji z szeregowym posłem. (źródło: <https://besty.pl/4054251>)
Szczęśliwie, nie wdałem się w wyjaśnianie, że premier przedtem działał przy wierchuszce partii obecnie opozycyjnej i że jego podejście do ekonomii jest bardzo elastyczne. Nie musiałem jeszcze wyjaśniać niczego związanego ze Zbysiem Ziobrą i mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał.



**Kiedy
przepiędoliłeś
70 mln zł**



**Ale to nie było
Twoje
70 mln zł**

Besty.pl



Przypadkiem tylko wspomnimy, że ten poradnik stał się bestsellerem (źródło: <http://www.malopolska.mw.gov.pl/aktualnosci/kultura/teologia-ciala-wedlug-jana-pawla-ii-nowy-podrecznik-dla-mlodziezy>)

Za to dostałem pytanie o ministra zdrowia, bo dwójka z moich współpracowników przerobiła poprzedni lockdown w PL i dobrze pamiętają tego wodza. Gdy usłyszeli, że odszedł, to myśleli, że za karę. Niestety, zabrałem się w wyjaśnianie tego, że w nagrodę. Oni oczywiście nie zrozumieli, znowu wszyscy pomyśleli, że wymyślam...

Religia w szkołach – to pokonało tylko tych, którzy Polski nie znają dobrze. Dla weteranów, sprawa jasna jak słońce. W roku 2020 w polskiej szkole są dwie godziny religii tygodniowo, a jedna fizyki i jedna chemii. Państwo oficjalnie świeckie za to płaci. Czego nie rozumiecie?

Fajnie też wyglądała jedna Brytyjka jak jej powiedziałem, że TVP będzie pokazywała więcej mszy. Głupio się pytała, kto to będzie oglądał.

Tak przy okazji, ci mniej zaprawieni w bojach potrafią zadać takie głupie pytanie: „ale który papież?”. Ci, którzy pracowali w Polsce wiedzą, że prawdziwy papież jest tylko jeden.

Całe szczęście już mało kto pyta o Smoleńsk, bo tak do 2012 to wszyscy dość dobrze kojarzyli to z Polską.

Za to pytają, czy mamy euro i dlaczego nie.

Nawet z piłką nożną jest niebezpiecznie, bo znawca tematu nie mógł zrozumieć, dlaczego polskie kluby grają tak źle w Lidze Mistrzów. Niby taki znawca, a nie wiedział nawet, że swego czasu mistrz Polski dostał z Sheriffem Tyraspol.

Podczas codziennej wymiany uprzejmości lawiruję, żeby powiedzieć, że w Polsce wszystko w porządku. Że nie dzieje się nic przesadnie ciekawego. Jednak potem się wysypuję i coś wspominam, że np. górnicy. I znowu muszę wyjaśniać, że Polska jest największym trucicielem Europy, że mamy syfne miasta i że od lat nie umiemy niczego zrobić z naszym przemysłem węglowym. Chciałbym wierzyć, że pewnego dnia wejdę do pokoju nauczycielskiego i że na pytanie: „a co w Polsce?” powiem, że super, bo właśnie wydarzyło się – i tu rzucę coś fajnego, dobrego, coś co sprawi, że Polska przestanie im się kojarzyć z obesranym jaskiniowcem, który wszedł do salonu, nalał na dywan, a teraz siedzi na stole i próbuje wsadzić sobie wazon z kwiatami na głowę.

Niestety, mój kontrakt pracowniczy jest tylko do lipca 2021, tak więc czasu jest bardzo niewiele.



Prawdopodobnie do tego czasu Polska nie poleci w kosmos (źródło:

https://countryballs.net/i_want_to_believe/4463)

Io non sono l'amore

Na etapie września moja wiedza o Kalabrii była raczej znikoma. W samych Włoszech byłem dobre naście razy, ale nigdy w tym rejonie. Mediolan, Rzym, Sycylia, Florencja, Rimini, trochę wybrzeża, jednodniówki do Bolonii, Padwy, Wenecja ze trzy razy, Triest, czyli mniej więcej turystyczny standard. Samą Kalabrię widziałem w 2012 roku przez cieśninę Mesyńską. Pytani o nią znajomi Włosi zazwyczaj nie mieli wiele do powiedzenia, bo sami nigdy tu nie dotarli. Skojarzenia: mafia, korupcja, bezrobocie, bieda, prymitywizm, dziwny wariant włoskiego, niski poziom edukacji. Nigdy nie usłyszałem niczego dobrego lub też zachęcającego do przeprowadzki do tego regionu. Propagandowe strony turystyczne polecały plaże i antyczne zabytki. Pocieszałem się, że jednak nuda mi nie grozi, bo domyślałem się, jak bardzo szkoła zadba o zajęcie mi czasu. O ile w krajach azjatyckich można znaleźć czas dla siebie i zastanowienie się nad sensem życia, o tyle szeroko rozumiany kontynent europejski tym nie grozi. Do tego stopnia, że po półtora roku życia w Moskwie mam jeszcze kilka niezaliczonych muzeów, a po dwóch latach w Warszawie też jeszcze bym spokojnie coś znalazł do zobaczenia. Z perspektywy czterech miesięcy nie pomyliłem się myśląc, że w Kalabrii będzie podobnie.



Wszystko miga

Uczę dość standardowych kursów, przygotowuję młodzież do egzaminów Cambridge. W pewnym sensie moje godziny pracy też nie odbiegają od przyjętych. Niestety, przez lata napływ młodych i dynamicznych sprawił, że standardy w obciążeniu pracą nauczyciela w prywatnych szkołach stały się po prostu chore. Gdy czyta się jakie były pensje, jakie kontrakty, jakie godziny i jakie koszty życia dwadzieścia lat temu, to wygląda po prostu jak bajeczna fantazja pijanego komunisty. Z roku na rok

jest gorzej, a rozwój systemów informatycznych spowodował, że czas spędzany nad wypełnieniem profili mógłby zawstydzić Związek Radziecki. Cudów jest wiele, ale bardzo lubię to, że pisząc raport dla ucznia, muszę przeklikać 11 okienek. W ośmiu wybrać NIE DOTYCZY, bo np. nie jesteśmy kursem FCE, tylko A2.

Finansowo nie narzekam, ale Ferrari na razie nie planuję kupować. Dość szybko zrozumiałem, dlaczego szkoła szukała aż siedmiu nowych pracowników i to w czasie zarazy. O ile ludzie gdzie indziej trzymali się etatów zębami i pazurami, tak tu sobie podziękowali. Dla mnie ten gig będzie przygodą jednoroczną (chyba, że się załamię wcześniej), bo po dwóch miesiącach mówienia, że np. nie podoba mi się dokładanie spotkań o niczym, system rozliczania czasu pracy i nonsensownych kursów, doszedłem nieco do ściany. Próbowałem też tłumaczyć, że obecnie możliwości relaksu są bardzo ograniczone, więc ogólnie naprawdę nie chciałbym tonąć w pracy po uszy jeżeli nawet nie mam możliwości wyjechania nigdzie w weekend. Wzruszające jest to, że wszyscy przyznają mi rację, a potem nic się nie zmienia.

Najczęściej wygląda to tak:

- *Czy możemy coś zmienić, żeby ci się lepiej pracowało?*
- *Tak, siedzę czasem i po dziewięć godzin dziennie na strasznie niewygodnym krześle. Stworzyłem już całą jogę krzesłkową, ale są pewne granice tego ile można wytrzymać.*
- *Tak, masz rację.*

Krzesło zmianie nie uległo. Dodam, że komputer stawiam na stoliku campingowym.

- *Zwróćcie uwagę, że 350 minut online wymaga – powiedzmy – 200 minut przygotowania. To jest łącznie 550 minut przed ekranem w ciągu dnia. Moje oczy pływają, a nie miałem nigdy takich problemów.*
- *Tak, to rzeczywiście dużo.*

Dwa dni później dodali więcej.

- *Czy moglibyście mi nie zmieniać planu zajęć każdego tygodnia? Ja naprawdę pracuję tylko tutaj, ale przestańcie dodawać np. spotkania o niczym (zwane „rozwojowymi zawodowo”) czy wrzucać mi nadrabiania zaległości z uczniami, którzy opuścili jedną lekcję. Najgorzej jak mi to robicie na dzień lub dwa przed.*
- *Wiemy, to może być męczące.*

Dwie godziny po tej rozmowie wpierdaczono mi 90 minut na następny dzień uzupełniania wiedzy z uczniem kolegi. Rekord chamstwa padł, gdy o 23 zmieniono mi zajęcia na następny dzień. Praca jest radością, quod erat demonstrandum.

Mieszkańcy Kalabrii nie są ludźmi bardzo zorganizowanymi, a w pizdę potem dostaję ja, co średnio wpływa na moje dobre samopoczucie. Źle przygotowane testy, pogubione wiadomości, opuszczone spotkania. Najbardziej lubię jak mam ustawione spotkanie, potem osoba z managementu nie przychodzi, a mnie usuwane jest spotkanie w grafiku. Czyli siedzenie i czekanie przez 20 minut nie wydarzyło się. Uczymy zdalnie, ale dalej musimy opierać się o dokumenty sprzed dwóch lat, które nijak nie odnoszą się do współczesności. Oni się wręcz dziwią, że ja się o to denerwuję. Umawiam spotkanie na 13:30, zostaje przesunięte na 15:30, potem dwie godziny się nie odbywa, a o 19 dostaję wiadomość, że zapomniano sobie. Czy mógłbym przyjść w innym terminie? Nie mogłem, więc spotkanie się nie odbyło, świat się nie zawalił, ale co się wkurwiłem, to moje.

Ponieważ mamy rok zarazy, to opcje koncertów, festiwali filmowych i wyjść towarzyskich są bardzo ograniczone, więc pod tym względem nie ma znaczenia, czy mieszka się w Mediolanie czy w Reggio di Calabria. Cenię sobie to, że do pracy idę nieco ponad 20 minut, a jeżeli bardzo chcę, to mogę je przejść po „najpiękniejszym kilometrze Włoch” jak to lokalni nazywają nadmorską promenadę. Zawsze chciałem mieszkać nad morzem, więc przynajmniej na etapie października mogłem chodzić na plażę. Pracuję z dość miłymi ludźmi, więc otwarcie do kogoś ust nie jest problemem, da się też czasem spotkać na jakieś piwo. Z radością odkryłem, że jeden z nowych pracowników jest wielkim fanem thrash metalu, zwłaszcza Megadeth i Slayera. Szału nie ma, biedy nie ma, poziomy Warszawy czy Moskwy to nie są, ale nie jest to też Kazachstan czy np. drugie Chiny. Kierownictwo jest miłe i panuje rodzinna atmosfera.

Niestety, suma moich doświadczeń życiowych jest taka, że jednak lepiej się pracuje, gdy jest po prostu profesjonalnie, a atmosfera robi się sama. Pomysł w stylu „święteczne śpiewanie piosenek na Zoomie” to jakaś pierdolona paranoja. Kazali nam przerobić jakiś znany hit, żeby dotyczył roku 2020. Ludzie poszli w np. Queen („I want a vaccine”), Guns’n’Roses (“Welcome to the Pandemic”). Ja sprawę rozwiązałem prościej, bo włączyłem Irresponsible Hate Anthem na fragmencie, gdzie Manson drze się „Fuck it” i powiedziałem, że to moja odpowiedź na rok 2020. Powstrzymałem się od powiedzenia, że taki sam komentarz mam do tego wspaniałego, obowiązkowego team buildingowego eventu, którym mnie dojebano. Przeraża mnie, że moimi przełożonymi są ludzie, którzy uważają, że to wszystko było bardzo zabawne i fajne. Pracownicy mieli nieco odmienne zdanie – masz raporty do pisania, w chuj roboty, a tu musisz spędzić godzinę udając, że się dobrze bawisz.

Niektóre kursy, których uczę, są tak głupie, że aż trudno w to uwierzyć. Jeszcze trudniej wykrzesać z siebie pasję do prowadzenia ich. Pierwszy raz w życiu uczę nastolatków po 19. Ten ogień, który mają w oczach, gdy muszą siedzieć ze mną w piątkowy wieczór od 19 do 20:30... Kurs ten zrównuje wszystkich do poziomu desek w więziennym płocie: oni tam nie chcą być, ja tam nie chcę być, ale siedzimy i robimy ćwiczenia do egzaminu PET.

Po kilku tygodniach życia tutaj zacząłem nazywać Reggio di Calabria Kraśnikiem Włoch. Pobyt już dość solidnie wyleczył mnie z pozytywnych uczuć związanych z krajem Garibaldiego, a przynajmniej z południem. Co rzuca się w uszy, to wrzask. Dzioki wrzask. Ludzie nie potrafią komunikować się nie krzycząc. Krzyczą na ulicy, w sklepie, a potem na lekcji. Elementarne zasady cywilizowanej komunikacji (np. nie wpierdalanie się drugiej osobie w słowo) nie są respektowane. Ważne, żeby cały świat wiedział, że chcę coś powiedzieć. I oczywiście „allora”. Gdybym za każde usłyszane „allora” dostawał eurocenta, to wracałbym z jakimiś 100 euro dziennie do domu. „Allora but allora” jak powiedziała jedna z mych uczennic.



Gdy ideologia wyzysku wchodzi za bardzo (źródło: <http://www.quickmeme.com/meme/3qb5vj>)

Kalabria cieszy się bezrobociem na poziomie około 20% - dane sprzed zarazy, teraz pewnie lepszym. Nie sprawia to, że ktokolwiek szanuje swoją pracę. Standardy szurają o ziemię. Bycie okrzyczanym w sklepie (np. za płacenie banknotem 20 euro), to norma. Kasjerka, która gada z koleżanką, a kolejka kwitnie przed kasami na kilkanaście osób, to też ich norma. Płacenie kartą postrzegane jest jako ekstrawagancja. Gdy już podejmiemy się tego wyzwania, to kartę zabierają z ręki i potrafią nie pokazać kwoty wybitej na terminalu. Średniowiecze. Niektóre sklepy akceptują bony i to dopiero jest dramat, gdy ktoś nimi płaci, przyjęcie tego szalonego środka płatności potrafi zająć dobre kilka minut. Bardzo też lubię, gdy mi zaokrągłają końcówki. Prawie zawsze w swoją stronę. Ponieważ życie tu jest raczej nudne, to w mniejszych sklepach ludzie lubią sobie pogadać ze sprzedawcą. Kilka minut. Kolejka rośnie, a oni gaworzą jakby byli na kawce. Nie wcinam się, bo w końcu jestem gościem (który płaci podatki...), ale w Polsce to bym solidnie wypiłował ryj za coś takiego.

Co do kawki, to kalabryjskim sznytem jest wzięcie kawy na wynos, a potem wypierdolenie kubeczka na środku głównej ulicy, czyli Corso Garibaldi. Pisałem już o śmieceniu, ale warto powtórzyć: większego syfu niż w Kalabrii ze świecą szukać w całym Jewro Sajuzie. Zestaw Reggio deluxe to dorzucenie pudełka pizzy do kubeczka po kawie. Czasem młodzież chleje, to wtedy jeszcze potłuczone szkło i puste butelki.



Zdjęcie nie oddaje smrodu

Sklepy są raczej prymitywne i nudne. Nie jestem jakimś zakupoholikiem, ale czasem lubię wejść, pooglądać rzeczy, może coś fajnego sobie znaleźć. W Reggio nie, na zakupy idzie się za karę. W całym mieście nie znalazłem glanów numer 45. Chyba będę musiał jechać do Rzymu, zamówić online albo zacząć chodzić w adasiach. Jedynym sklepem, który ma fajne rzeczy, jest hiszpański Pamplung. Cała reszta to bezduszne sieciówki. Poziom ludzi jest taki, że uważają, że wyprawa do Messyny do H&M to atrakcja, a sam H&M potrafią malować w barwach obłądnego targowiska próżności. Jedna księgarnia ma jedną książkę po angielsku. Druga ma zero.

Nie zapominajmy, że jesteśmy na południu Europy, więc sjesta jest święta. Rozumiem, że w średniowieczu praca w polu w środku lipca i o 12 była mordercza, ale kurwa mać, w styczniu, w klimatyzowanym markecie? Od 13 do 17 nie kupisz w całym mieście paczki fajek. Znaczący możesz kupić z automatu, ale to jeżeli masz kartę zdrowia, ja nie mam. W ogóle koncepcja karty zdrowia do weryfikacji wieku do kupna fajek lub piwa to zabawny pomysł, przynajmniej dla mnie. Sklepy zamykają się 20:30-21:00. Chyba założę świątynię Żabki, już nie mówiąc o całodobowych przybytkach w stylu Carrefoura. Nigdy nie sądziłem, że to jakiś luksus życiowy, teraz już rozumiem, że tak. Sklepów samoobsługowych jest mało, trzeba prosić obsługę o podanie-pokazanie towaru, no więc allora. Jeżeli pewnego dnia będziesz w centrum Reggio di Calabria i zapragniesz napić się zimnej wody mineralnej, to musisz albo iść na północ (na via Possidonea, gdzie jest Despar) lub na południe (na via Osanna do VerdeBlu, tylko od 13 do 16 nie działają). To oczywiście przy optymistycznym założeniu, że będzie woda w lodówce (w Verde powinna być, w Despar raczej nie). Nie wiem dlaczego panuje taka dramatyczna bieda z marketami. Są całodobowe automaty z napojami, ale w nich jest okrutnie drogo.



Bez ludzi jest spoko

Mam taką, powiedzmy, zaprzyjaźnioną tabakierę, gdzie jest trochę taniej. Jednakże Antonio nie lubi siedzieć w pracy, więc zdarza się, że przychodzę, zamknięte, z pobliskiej rybiarni dobiega okrzyk „ANTOOONIOOO” i Antonio wyłazi z innego przybytku, otwiera swój sklep, sprzedaje mi fajki, zamyka i idzie gadać np. do rybiarni. Bywają dni, że odbijam się od zamkniętych drzwi, bo Antonio ma wyjebane i rybiarnia go nie wywołuje.

Bezrobocie, pandemia, walczymy o życie biznesów? Jeden z mych uczniów jest kelnerem. Niestety, od początku listopada jego restauracja jest zamknięta. Zwyczajowo otwierali o 19, ale ponieważ obecnie można pracować tylko do 22, to właściciel stwierdził, że się nie opłaca. Pracownicy błagali, żeby lokal przestawić na np. 13-22, ale kapitalista powiedział, że przecież nie można pracować w takich godzinach, bo sjesta. Włochy wytargowały z UE 220 miliardów euro na pomoc biznesom. Wygląda na

to, że cała Kalabria siedzi i czeka na ten pieniądz. Podobno hotele zazwyczaj mają tu tak mało gości, że wręcz się cieszą, że zaraza, bo wyszło im, że więcej dostaną z odszkodowań niż z normalnej pracy. Obecnie problemem jest tylko to, że nadal nie dostali wiosennej transzy pieniędzy.

Promenada w Reggio jest taka sobie, no ale jest. Wiedzą powszechną jest, że działające tam biznesy muszą opłacać się mafii. Wszyscy przyjmują, że to w porządku, bo zawsze tak było. Życie w Kalabrii to właśnie taki marazm i akceptowanie chorych zjawisk jako normalne.

Przez lata wydawało mi się, że Polacy są rąbnięci jeżeli chodzi o kult samochodu. Już tak nie myślę, bo Kalabryjczycy nie są w stanie przejść stu metrów. Prawdziwym arcydziełem lokalnej psychopatii jest parkowanie. Ludzie parkują wszędzie, a policja ma wywalone. Zatarasowane pasy, jeżdżenie jednokierunkowymi pod prąd, to standard. Sam zaadaptowałem się do systemu i chodzę jak w Azji, czyli na czerwonym, na skos przez rondo i jeżeli mi akurat pasuje, to ulicą. Skoro wszyscy mają wyjebane na przepisy, to czemu ja się mam męczyć?

Gdy 1 stycznia 2021 roku poszliśmy na spacer na pobliskie góry, przez trzydzieści minut szliśmy przez wąwóz śmieci. Chyba nienawidzą tu pieszych, bo chodniki często urywają się, już nie mówiąc o tym jakie są dziurawe. Po drodze zobaczyliśmy stłuczkę na zjeździe z autostrady. Potem wyskoczyły dzikie psy. Powalony tym pięknem rzeczywistości, wypowiedziałem następujące słowa:

- *Człowiek migruje, żeby poprawić sobie jakość życia. Tym razem chyba nam się nie udało.*

Chata Wuja Dino

Mieszkałem już w kilku krajach. Im więcej miejsc przerabiam, tym bardziej w moich oczach rośnie Polska. Kalabria sprawiła, że idealizuję ojczyznę niczym "Latarnik" Sienkiewicza. Ostatni raz mieszkałem w tak złych warunkach w Gruzji w 2012 roku. Zaznaczę, że było to we wiosce z populacją 800 osób, gdzie nie było sklepu, a drogi jedynie gruntowe. Nie, że w Chinach było wszystko cudownie, ale jednak, Kalabria sprawia, że z nostalgią wspominam i tamte mieszkania. O Rosji, Kazachstanie i Warszawie nie mówię, bo porównywanie tamtych mieszkań do lokum kalabryjskiego, to jak porównywanie meczów Pelikana Łowicz i Juventusu Turyn.

Gdy podpisałem kontrakt, szkoła zasugerowała mi mieszkanie. Przesłano mi cztery opcje, ze wskazaniem na jedno. Że polecają konkretnie to właśnie, bo najlepsze. Podrzucili mi jeszcze inne, ale stwierdziłem, że jak polecają, to skorzystam z ich porady. Skoro ufam komuś na tyle, żeby się ciągnąć dwa tysiące kilometrów do pracy, to muszę i zaufać w kwestii mieszkania. W tym, które szkoła poleciła, kupił mnie wielki taras z widokiem na morze i na Sycylię.

Kilka miesięcy później zrozumiałem, że zaufanie szkole było błędem.

Jeszcze dobrze nie wszedłem, gdy landlord poinformował mnie, że mam nie wieszać niczego na ścianach, bo poprzedni lokatorzy – nauczyciele tacy, jak ja, podkreślił - strasznie mu zniszczyli ściany. Dobra, spoko, nie planowałem wieszać van Gogha w salonie i Picassa w sypialni. Cios związany z tym, że ktoś kilka lat temu powiesił coś na ścianach, najwyraźniej pozostał z nim na długo, bo ścian nie odmalował.

Mieszkania na południu tego kraju z definicji nie mają ogrzewania, bo zimy są niby łagodne. Nawet gdy byłem w Lombardii w grudniu, to smutna farelka była jedynym, na co mogłem liczyć. Oczywiście, w Kalabrii zimą temperatury pozostają plusowe, a śnieg zdarza się raz na kilka lat. Mimo tego, to naprawdę nie żyje się cudownie, gdy ma się jakieś dziesięć stopni w mieszkaniu i para leci ci z ust nawet o godzinie 12 w południe. Nocami temperatura spada do około pięciu stopni. Klimatyzacją można trochę dogrzać, ale prąd tani nie jest, więc miesiąc takich zabaw to koszt rzędu stu euro. Klimatyzacja dokłada się do wilgotności w mieszkaniu, a ta sama z siebie jest dość obłądna: ubrania nie schną, sól permanentnie zmienia się w kryształ, bibułki do papierosów zlepiają się, a papier wilgotnieje w ciągu dnia - po kilku dniach nie da się na nim pisać. Pleśń, jaką obrodziło pod koniec grudnia moje mieszkanie, można było oddać do badań mykologicznych i może nawet dostać jakąś nagrodę za pewne odkrycia. Ostatecznie pleśń usunięto, ale jasnym jest, że to problem, który mieszkania tutaj mają rokrocznie. Cały proces usuwania pleśni był komedią, bo kamienicznik zobaczył, że mam powieszone bilety kolejowe na półeczce. Zrobił gigantyczne avanti o to, że niszczę mu meble. Pokazałem mu, że nie ma żadnych śladów, że ścian nie ruszam. Usunąłem wszystko, meble przetrąłem, śladu nie ma. Mój niesmak pozostał. Rozumiem, że chciał odciągnąć uwagę od pleśni, ale są pewne granice: ja za to wszystko płacę. Reggio di Calabria to nie Londyn ani Moskwa. Zbłatowanie szkół z właścicielami mieszkań owocuje patologicznymi relacjami, w których niemało płacisz, a w zamian dostajesz usługę jakości, której w Polsce byś nie dotknął.

Tak więc nie ma zim podług polskiego rozumienia zimy, a na zewnątrz w ciągu dnia jest w miarę przyjemnie. Wieczorem w pomieszczeniach zamkniętych panują temperatury przypominające stary, dobry gułag.



Po włosku to muffa.

Moje mieszkanie to de facto przybudówka zrobiona na trzecim piętrze. Ściany z niczym nie graniczą, izolacji nie zastosowano, no bo przecież południowe Włochy, wieczne lato, to ocieplenie ani izolacja nie są potrzebne.

Takiego chuja.

Od połowy listopada noce są tak zimne, że woda w cieniu dachu zamarza. Od życia w takich warunkach napierdalają nas stawy (i jeziora). Palce drętwieją podczas pracy przy komputerze. Poranne wyjście spod kołdry (kołdrę dostaliśmy dopiero w styczniu, wcześniej mieliśmy tylko prześcieradła) owocuje traumą, którą odziedziczą kolejne pokolenia. Standardowy kalabryjski wieczorek to Jenot i Aligator przytuleni pod kocykiem. W wersji deluxe: z grzanym winem. Mógłbym to wszystko zrozumieć, gdybym pracował w publicznej szkole w jakimś Pakistanie. Pracuję dla dość drogiej szkoły prywatnej w kraju należącym do G7. Moje warunki życia w Kalabrii są takie, że pewnie niemało osób w Kiszynowie ma lepsze. Podłoga? Jaka podłoga, stąpamy po linoleum nalepionym na betonowej wylewce. Nawet we wrześniu było to tak zimne, że nie dało się przejść dwóch metrów bez bycia ściętym zimnem. Od grudnia tak strasznie daje lodem od podłogi, że nie wkładamy wódki do lodówki, tylko zostawiamy ją na kuchennym linoleum.

Niektórzy z moich współpracowników mają ogrzewanie centralne, ale to mniejszość. Inni znajomi mieszkają np. na drugim piętrze w nowoczesnym bloku i dzięki temu jest u nich dobre 5 stopni cieplej niż u nas. Gdy otworzyłem o to paszczę, dowiedziałem się, że przy tym, ile płacę, to lepiej się nie da. Uważam, że 400 euro w Kalabrii to nie są kopiejki. Moja pensja nie jest jakaś z gwiazd, więc wolałbym nie płacić większego haraczu za to, że wolno mi zapracować się na śmierć w chorych

godzinach. Tak więc pracujesz w bardzo drogiej szkole językowej, ale płacą ci tak chujowo, że nie możesz normalnie egzystować i śpisz w dresie i swetrze. Dzięki paru telekonferencjom, wiemy, że nasi przełożeni nie mają takich problemów. Oni siedzą w t-shirtach, my w kufajkach. Z rozmowy z dyrektorem:

- *Nie możesz oczekiwać ogrzewania w Kalabrii, nikt tu nie ma ogrzewania.*
- *Brytyjscy nauczyciele żyjący w komuszym mieszkaniu mają. A tak w ogóle, czy tam za tobą, to nie kaloryfer?*
- *No tak, ale ja tu już mieszkam pięć lat i dopiero w tym roku znalazłem mieszkanie z centralnym ogrzewaniem.*

To był jeden z rzadkich momentów, gdy zabrakło mi słów. Cieszę się, że mogę pracować na to, żeby inni mieli ogrzewanie. Ja zadowolę się zimnicą, ku chwale firmy i zyskowi właścicieli.

Super są spotkania firmowe, a i niektóre lekcje. Dzięki podejściu „zimy nie ma, zima to jest u Ruskich”, przeważająca większość pracowników i uczniów ciągle siedzi w kurtkach i polarach, a bywa że i w czapkach. Lokalni narzekają na zimnicę jeszcze bardziej niż przyjezdni. Kawałek świata, który był zasiedlony 3000 lat temu i powinien być jednym z najlepszych miejsc do życia na całym globie, został zamieniony w miejsce, które pod względem warunków życia jakakolwiek polska miejscina nakrywa czapką.

Hitem grudnia 2020 roku było to, że zaczęto nam odcinać wodę. Zazwyczaj następowało to po godzinie 22 i trwało do jakiejś 6-7 rano, ale bywały wyjątki od tej regularności i czasem brakiem wody mogliśmy się cieszyć już o 21. Co ja narzekam, we wrześniu moja współpracowniczka miała wodę przez dwie godziny dziennie, od 18 do 20. Czasem do 22. Teraz ma dookoła zegara, ale w nerwach oczekuje nadejścia wiosny i lata, bo pewnie znowu będzie reglamentacja. Rok 2021, kraj UE, mieszkańcy 200-tysięcznego miasta, stolicy prowincji, mają permanentne problemy z WODĄ!!! I ogrzewaniem.

Już prawie nie postrzegam tego jako problemu, że z odpływu prysznicowego cuchnie. Trzeba zatykać korkiem. Gdy się zapomni, to rozchodzący się zapach dość szybko przypomina nam o tym.

Miałem poważną rozmowę z przełożonym. Powiedziałem mu, że gdy brałem ten gig, to mówiono mi, że głównym problemem w Reggio di Calabria jest nuda. Jakoś nie wspomniano, że nie będę miał internetu, wody i będę trząsł się z zimna. Co usłyszałem w odpowiedzi?

- *Bo my to bierzemy za standard. Wszyscy tak żyjemy. Ale zrobię notatki, żeby w przyszłości informować nauczycieli, że będą musieli mierzyć się z takimi wyzwaniami.*

Spoko, ty masz kaloryfery i wodę. To najważniejsze, że tobie jest wygodnie. Reszta z nas może zapierdalać w zimnicy i bez wody, o necie nie wspominając. Na pewno będziecie mówić na rozmowie o pracy o tym, że oferujecie mieszkania w takim standardzie i że uważacie, że w roku pandemii porządny internet to jakiś wysublimowany luksus. Zapytałem: jakie widzicie szanse, że wszedłbym z ulicy i po dowiedzeniu się, że nie będę miał internetu, wziął to mieszkanie? Na odpowiedź jeszcze czekam. Akurat nie jestem jedyny, bo drugi kolega wygrał dokładnie takie samo mieszkanie: właścicielka odmawia zainstalowania internetu. No cóż, jeżeli odwiedza się Włochy jedynie na wakacje, to nie odkrywa się, że umowy z telekomami lubią być na dwa lata, a kary za rozwiązanie przed czasem są dość wysokie. Mimo wszystko bezczelnie uważam, że ludzie oferujący mieszkania na wynajem powinni to jakoś ogarnąć. Oszczędzę sobie komentarza co myślę na temat szkoły, która

ściąga nauczyciela i sadza go w takim mieszkaniu.

Myśląc o mieszkaniu nad morzem jakoś nie wpadłem na to, że czasem są tu sztormy. Wieje ciągle, nawet bez sztormów, a gdy już sztorm nadchodzi, to należy złożyć modły, żeby nie trzeba było wychodzić z domu. Pewnego listopadowego popołudnia musiałem iść do szkoły (przypomnę: w mieszkaniu mam tylko internet komórkowy), z nieba lało się strumieniami i po pięciu minutach mokre miałem dosłownie wszystko. Gacie, skarpetki, duszę, no wszystko. Siedziałem potem w mokrych ciuchach przez bite siedem godzin i z uśmiechem uczyłem kaszojadów, a na koniec dnia dorosłych. Koronozaraza mi już nie straszna, skoro przeżyłem siedem godzin siedzenia w mokrych gaciach na drewnianym krześle. Dziękuję mojej szkole, bo skoro przeczołgałem się przez coś takiego, to wiem, że już nic mnie nie pokona. W tym czasie moi przełożeni siedzieli sobie w suchych t-shirtach przy kaloryferku. Moi brytyjscy współpracownicy też mieli komfort tego, że mogli sobie włączyć ogrzewanie i nie musieli wychodzić z domu. Ja tego szczęścia nie miałem. Moja szkoła sprawia, że ciągle czuję się jak klaun. Ktoś mnie zapytał na początku stycznia, czy święta to był Netflix and Chill. Nie, tylko chill, bo przy ograniczonym internecie komórkowym, nie mogę sobie pozwolić na luksus streamowania filmów.

Nadałem sprawie tok, że tak się nie da żyć. Zaoferowano mi zamianę mieszkania na inne. Znam osobę, która tam mieszkała, więc zapytałem ją, jak się mają sprawy. Podobnie: zimno, właścicielka nie chce zainstalować internetu, ogrzewania brak. W październiku był jeden dzień bez wody, a potem nie wie, bo się wyniósł do dziewczyny. Pozytywnie wypowiedział się o łazience, ale podkreślił, że absolutnie nie jest to warte 400 euro plus rachunki. Uznałem, że zamiana nie ma sensu.

Warunki bytowe odpowiedzialne są za jakąś połowę tego, że w połowie stycznia zacząłem szukać dobrej dojazdówki do międzynarodowego lotniska, żeby wyrwać się z tej nędzy.

Lekcja ekonomii

Praca na styku współpracy sektora prywatnego (szkoła językowa zorientowana na zysk) z państwowym (szkoła publiczna zainteresowana niczym) owocował wieloma cudami. Największym z nich były zapewne sumy euro pojawiające się na koncie mojego kierownika. Bardzo bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że i szkoła publiczna coś sobie ugrywała na tej współpracy. N wiem jak kontrakty były podpisywane od strony technicznej, a gdy o to spytałem, to dowiedziałem się, że to bardzo niegrzeczne pytanie. Prawdopodobnie tak, że szkoła publiczna dostaje któregoś z nauczycieli na własność i może go zastrzelić jeżeli najdzie ją taki nastrój, tylko potem będą musieli zapłacić za spopielenie zwłok zaprzyjaźnionemu krematorium.



Gdzieś w Kalabrii czai się odpowiednik tego pana (źródło: "Palacz zwłok", 1969; <https://ct24.ceskatelevize.cz/specialy/filmovy-festival-karlovy-vary-2019/2855939-co-abych-te-draha-digitalizoval-spalovac-mrtvol>)

Na papierze mój pierwszy kurs nie wyglądał źle: kurs przygotowawczy do egzaminu KEY uczony w oparciu o podręcznik Compact. Zazwyczaj takie gigi są do przeżycia – masz do 12 uczniów na tym samym poziomie, wszyscy chcą zdać egzamin. Chyba, że to kalabryjska szkoła publiczna. Wtedy masz do czynienia z grupą ponad 20 uczniów: niektórzy już dawno są poza poziomem egzaminu na A2, niektórzy w okolicach zagadnienia, a inni lata świetlne od tematu. Z jakichś pięciu godzin języka tygodniowo, dwie mieli ze mną, trzy z włoską nauczycielką.

Uczenie z drugą osobą może być bardzo ciekawym i rozwijającym doświadczeniem. Niestety, zazwyczaj nie jest. Uczyłem w szkołach publicznych i niezależnie od kraju, doświadczenie było dość podobne: za duże klasy, kiepska infrastruktura, taka sobie atmosfera z lokalnymi nauczycielami, którzy czasem prezentowali pod względem manier poziom człowieka jaskiniowego i kompetencje, które przerażały w połączeniu z lenistwem wynikającym z braku nadziei na cokolwiek przyjemnego w życiu.

W Kalabrii było właśnie tak: klasa 22 osób (na początku lista uczniów nie pokrywała się nawet z rzeczywistością) oraz w miarę sympatyczna nauczycielka lokalna, która jednak nie przepadała za pracą. Jeżeli robi się uczenie na dwóch nauczycieli, to wypada, żeby sobie usiedli wspólnie i ustalili, kto robi co, kiedy, dlaczego. Pisz się plan na semestr, a potem co jakiś czas do niego wraca i w razie potrzeby zmienia. W kontekście tego, że nasze lekcje przechodziły z online do offline kilka razy, to wypadałoby uwzględnić i takie niuanse ówczesnej sytuacji. Niestety, to wszystko wymaga czasu i organizacji. Szkoła nie wlicza takich imprez nauczycielom do godzin pracy, więc jeżeli nie trafi się dwójka chorych psychicznie pasjonatów, to spotkania takie nie będą miały nigdy miejsca. Po paru tygodniach zaczęło wyglądać to tak, że na lekcje w klasie ich nauczycielka przychodziła spóźniona 10-20, a czasem i 40 minut. Zazwyczaj siadała i dłużyła w telefonie, czasem rzucając niemiły komentarz. Jej poziom znajomości języka angielskiego to takie późne B1-wczesne B2. Pracowałem z gorszymi ludźmi, pracowałem z lepszymi.

Przychodziłem więc, robiłem swój kurs, a ona czasem się denerwowała, bo nie zawsze był kompatybilny z jej. W sumie było mi głupio, bo miałem poczucie, że wpierdalałem się między wódkę a zakąskę. To ona była ich główną nauczycielką, a nie ja. Uczniowie mnie lubili, ale trudno powiedzieć, że jest dla mnie dziką radością uczenie w takich warunkach. Ogarniałem to, ale z powodu dystansu społecznego i rozmiaru grup, nie przypominało to porządnego kursu. Gdy trafialiśmy online, to działało nieco lepiej, ale połowa mojej roboty to było ustalanie dlaczego komuś nie działa kamera, a komuś rwie i czy mogą powtórzyć, bo ktoś nie słyszał. Po prostu, zajęcia się odbywały, wspólnie z nauczycielką lokalną wypełnialiśmy dziennik. Pozwoliłem sobie na nieco cierpką uwagę, gdy zobaczyłem, że jestem wpisany jako professore di madrelingua, że nie powinienem się podpisywać, bo mam złe madrelingua. Standard branżowy, na każdym kroku przypomną ci, że jesteś złej narodowości.

Nieco na marginesie, włoskie szkoły dostają obłędne pieniądze z UE – ta, w której pracowałem, miała na wejściu tablicę, że 350 milionów euro. Kupują za to dużo sprzętu, którego nikt potem nie umie używać. Tablice interaktywne za jakieś 4000 euro są w niemal każdej sali, ale nierzadko pozostają niepodpięte do komputerów i klawiatur. Internet czasem nie działa i nikomu nie spieszy się, żeby go naprawić. Trudno wyobrazić sobie takie marnotrawstwo zasobów i pieniędzy w sektorze prywatnym, gdzie szkoły oglądają pod światło wydatki na papier i toner.

Miałem dwie w chuj upokarzające sytuacje z ramienia mojej kalabryjskiej koleżanki. Już pod koniec mego pobytu w szkole chciałem być miły:

- *Oni są bardzo dobrzy z gramatyki jak na A2* – mówię, bo coś chcę powiedzieć.
- *Their very better teacher taught them that* – odpowiada ona, bo chce ze mnie zrobić pośmiewisko.

Szczęśliwie, uczniowie nie zrozumieli. Gdybym miał jakąkolwiek wiarę w kierownictwo, to złożyłbym komentarz, że sobie nie życzę takich tekstów. Ponieważ jednak panowała atmosfera terroru szczęściem, to tylko się strasznie wkurwiłem w środku siebie. Działo to o tyle, że kilka tygodni

Teacher: The best way to learn a language is to talk with its native speakers

Students studying Latin:



Współpraca z natywami bywa trudna (źródło: <https://ahseeit.com/?qa=56519/teacher-best-learn-language-talk-with-native-speakers-meme>)

wcześniej ona napisała o mnie, że jestem świetny, ja napisałem w swojej ankiecie, że ona jest świetna i wszyscy byli zadowoleni. Zapewne myślała, że jestem nieudolny, bo cechowała ją pasja do gramatyki i chyba widziała niską wartość w moich pomysłach w stylu „zaprojektuj idealny mundurek szkolny” zamiast robienia litanii przymiotników. Projekt jednak przypadł jej do gustu po tym, gdy jedna z uczennic dostała za niego nagrodę „Pracy Tygodnia” i szkoła powiesiła skan jej pracy na swoim FB. Wtedy na chwilę zostałem fajny, a informacja o tym poszła do pani dyrektor. Miło, ale ja tak nie lubię pracować.

Kolejna lekcja. Zadanie domowe brzmiało: jeżeli masz ochotę napisać opowiadanie dla mnie, to je napisz. Nie musisz go oddawać, wystarczy, że mi je przeczytasz. Nie ma punktów dodatnich za oddanie, nie ma ujemnych za nieoddanie. Ostatecznie cztery osoby coś oddały, kilka więcej przeczytało. Gdy przyszła spóźniona 20 minut i zobaczyła, że mam zebrane cztery wypracowania, to zaczęła się śmiać i mówić przy całej klasie, że jestem „fantastic teacher” bo dostałem cztery zadania domowe. Jakoś jej umknęło, że gdy zadałem obowiązkowy writing, to oddało go 21 z 22 osób (jedna była nieobecna, ale gwoili uczciwości, niektórzy napisali taki chłam, że jasne, że zrobili to w dwie minuty).

Kiedy indziej uczeń powiedział „I pack my very, very, very book”. No jebnął się, zdarza się. Jednak przez następne 20 minut co chwilę się z tego śmiała.

- Take your very, very, very pencil and write in your very, very, very notebook.

Było mi wstyd, że tam stoję i muszę tego bezsilnie słuchać. Klasa ryje z chłopaka, ten świeczki w oczach, a ona dopierdała jakieś kolejne very, very. Znękanie jak trzydzieści lat temu.

Nieodłączną częścią tego kursu były ciągłe zmiany czasu zajęć. Najpierw 12:25, potem 13:25, a gdy przechodziliśmy online, to wtedy 15. Albo 13. Na moje pytanie, co też stoi na przeszkodzie, żeby lekcja online odbyła się o 12:25, tak jak była zaplanowana w klasie, odpowiedzi nie dostałem. Nie wiem, czy to szkoła publiczna co chwilę to zmieniała, czy też moi przełożeni. Wiem, że doprowadzało mnie to do wściekizny, zwłaszcza, że zawsze było ogłaszane bardzo późno.

Ostatniego dnia ma kalabryjska współpracownica powitała mnie z przerażeniem i powiedziała do mnie „you very bad boy, you are going home”. Zapewne domyślała się, że istnieje ryzyko, że mój następca uczyni jej życie trudniejszym, bo może np. kolejny nauczyciel nie będzie ogarniał grupy, będzie zoo i zamiast siedzieć na kawce, to będzie musiała w klasie. Potem miałem ostatnią lekcję, na której uczniowie praktycznie ryczeli, że odchodzę i pytali kilkanaście razy, czy wrócę za rok. Dziewczynki wysyłały całusy, były łzy. Był to jeden z miłszych akcentów jaki mi się przytrafił, ale to kwestia losowa i szczęścia: fajna grupa, która entuzjastycznie reagowała na moje mniej lub bardziej udane pomysły.

Nasi managerowie nie przychodzili do pracy, bo śmiertelnie bali się koronawirusa. Szeregowi pracownicy musieli chodzić do szkół publicznych i każdego tygodnia prowadzić nauki dla ponad dwudziestu pacjentów. Nigdy, na żadnym etapie zatrudnienia ani współpracy ze szkołą w Reggio di Calabria, nie zostałem zapytany, czy zgadzam się na to, żeby chodzić do szkoły publicznej w czasach zarazy. Prawdziwe tango to był management. Nierzadko pakowaliśmy się w taki cyrk:

- problem – mail do managementu
- czekanie
- niemożność podjęcia decyzji z racji braku informacji zwrotnej
- świecenie oczami w szkole publicznej za brak odpowiedzi
- dostawanie spizdolu za brak decyzji i informacji.

Mój rekord wkurwu w temacie pękł jeszcze w grudniu. Przesłano mi testy dla uczniów. W formacie Powerpoint (dla niewtajemniczonych: testów do wydruku nie przesyła się w Powerpoincie. Zwyczajowo w pdf, a jak kogoś bardzo pogrzej, to w docx). Wydrukowałem jeden test, spojrzałem na niego i stwierdziłem, że nie da rady, oba samce. Napisałem o tym do kierowniczkii sektora szkół publicznych, był to poniedziałek. Że test wygląda jak podeptane gówno i że nie możemy dać czegoś takiego naszym uczniom.

Kind regards, Jenot.

Po 48 godzinach odpowiedzi nie było, była późna środa, a test miałem we wtorek. Dorwałem współpracownika zwanego Bazyliszkiem, który zgodził się ze mną: test wygląda jak podeptane gówno i nie wolno czegoś takiego dać uczniom. Zacząłem się denerwować i pisać więcej wiadomości. W końcu w czwartek dopadłem inną manager, która spojrzała na test i powiedziała, że jest w porządku. Z tym błogosławieństwem wydrukowałem 23 kopie testów. Niestety, każdy kolejny był gorszy. Jeszcze w pierwszych pięciu dało się coś odczytać, w kopiach 5-10 wymagało to już fantazji, a potem było bardzo źle – drukarka się przegrzewała i drukowała coraz gorzej (bo szkoły prywatne nie lubią wydawać pieniędzy na takie bzdury jak dobrej jakości drukarki, a o kolorze zapomnij). Ostatnie testy wyglądały jak podeptane gówno, które przylepiło się do butów, a potem próbowano je wyczyścić o krawężnik. Z braku innych opcji i pełen wiary w żenujące standardy szkoły publicznej rozdałem takie cuda moim uczniom. Jeszcze nie skończyli sekcji 'name', gdy zacząłem słyszeć szlochy, że nie mogą niczego odczytać. No i mieli rację. Po kilkunastu minutach pierdolenia im, że mogą odczytać, poddałem się, wysłuchałem spizdolu od włoskiej nauczycielki, zabrałem testy i tocząc pianę z pyska poszedłem do domu.

Napisano mi, że jak mi się nie podoba, to mogę zrobić inne skany. Jebło we mnie solidnie i napisałem, że nie córuś, ty możesz zrobić inne wydruki. Bo ja się w to jebał więcej nie będę. Wydruki w końcu dostałem, w końcu w rozsądnej rozdzielczości. W efekcie tych zabaw testowanie zajęło cztery lekcje, zmarnowałem ponad 200 stron papieru i solidnie czasu na ich zszywanie. Potem jeszcze tylko musiałem poprawić 22 testy, każdy po osiem stron, wprowadzić wyniki do systemu. Tu będzie wielka niespodzianka: zajmuje to w chuj czasu. Dlatego bywa, że trochę mniej nieprzyzwoite szkoły dają więcej pieniędzy lub czasu na kursy egzaminacyjne (powtórzę: grupy do 12 osób). W Kalabrii uznawano, że robienie egzaminu próbnego dla 22 osób to mało absorbujące wydarzenie. Lekko licząc, zajęło mi to około czterech godzin, ale i tak się cieszyłem, bo kolega miał FCE, gdzie jeden test poprawia się ze 20 minut. Jemu oczywiście też nie dawano za to żadnej taryfy ulgowej. Ideą naczelną uczenia kursów egzaminacyjnych w szkołach publicznych było zwabienie klientów (a raczej ich rodziców) do zapłacenia za egzamin i podejścia do niego we wiadomym centrum egzaminacyjnym.

Drugi gig, którego uczyłem w szkole publicznej, był online. Piątek wieczór. 19-20:30, kurs przygotowujący do egzaminu PET. Żadni rodzice nie posłaliby dzieci na takie coś i płacili za to. No to zanim się zaczęło, to wiedziałem, że będzie rzeźnia. Pocieszano mnie, że kurs będzie zmieniał godziny i że styczeń 19-20:30, a w lutym 10-11:30. Jak wiedziałem, że wszystko się ciągle zmienia, tak wiedziałem, że ten kurs się nie zmieni i po miesiącu napiszą mi, że sorry, bo pandemia i musisz mieć piątki z czternastolatkami do 20:30. Ku memu zaskoczeniu, pierwsze dwie lekcje poszły nieźle. Potem jednak była to walka zgodna z oczekiwaniami, czyli:

Pytanie.

Cisza.

Powtórzenie pytania.

Więcej ciszy.

"Simone, co myślisz?"

Cisza.

Ktoś mówi: "Simone poszedł do kibla."

"Dobra, Lara"

"Yes."

Super, zrobiliśmy.

Gdzieś koło piątych zadałem pytanie. Odpowiedziała cisza. Mówię:

- *Proszę, niech ktoś odpowie.*

Odpowiedziała najlepsza uczennica.

- *To jest wszystko interesujące, jesteś bardzo miły i to są ciekawe lekcje, ale my jesteśmy tak strasznie zmęczeni, że nie mamy siły.*

Co można odpowiedzieć na coś takiego? „Przepraszam was” chyba jedynie. Dorośli ludzie mają normy spędzania czasu przed komputerem, masz sobie robić przerwy co godzinę itp. Niczego takiego nie ma dla dzieci, a dopóki cyrk zwany zdalną edukacją trwa, to nikt tego nie wprowadzi, bo zabiłoby to biznesy i szkołę. Niektóre placówki edukacyjne mają kursy przygotowane do uczenia online, wtedy np. dajesz coś dzieciom do czytania w domu, a na krótkiej lekcji sprawdzasz, czy pojęli. Uczyłem tak przez chwilę w zeszłym roku, alokacja czasu była zazwyczaj 50% na naukę własną, 50% na zajęcia w grupie. Jednak rodzice tak się piłowali, że wróciliśmy do 100% online. Szkoły prywatne mogą pisać sobie jak bardzo zależy im na dobru uczniów, malować tęczę na fasadach szkół, ale żadna nie zrezygnuje z pieniędzy. Jeżeli jakieś dziecko po drodze oszaleje, to jego problem. Jeżeli niczego się nie nauczą, to nie ma znaczenia.

W ostatni piątek siedziałem i robiłem z nimi porządek przymiotników (czyli, że a beautiful old Italian cat, a nie an Italian old beautiful cat). Męczymy się, opisują mi różnych znanych ludzi, dominuje Achille Lauro, i miejsca, wygrywa Rzym. Jeszcze 10 minut. Jeszcze 8...5...2... Dziękuję, do widzenia. Jeżeli ktoś ma pytania do zadania domowego, to dawać, a jak nie, to możecie iść na zasłużony weekend.

Po tym tekście zazwyczaj miałem wszystkich z głowy w trzy sekundy. Tego dnia nikt się nie wylogowuje. Pytam, czy nie rozumieją czegoś. Jeden z czołowych zawodników pyta:

- *Czy to prawda, że to była nasza ostatnia wspólna lekcja?*

Kto im powiedział?

- *Tak.*

- *Więc to bardzo smutny dzień dla nas. Dziękujemy za wszystko.*

Jezu, za co wy mi dziękujecie...

- *Będziecie mieli kogoś innego, też pewnie będzie fajnie.*

- *Wiemy, że nie tak jak z tobą.*

Jeszcze ze dwie minuty mi dziękowali. Pierwszy raz w życiu tak miło zakończyłem zajęcia z ludźmi, których nigdy w życiu nie widziałem na żywo. A co do tego, że nie będzie fajnie: widziałem trochę jak uczą inni online i rzadko byłem pod wrażeniem. Komuś nie działa kamera – 10 minut babrze się w ustawieniach, a grupa siedzi i nie ma niczego do roboty. Hektary tekstu. Chujowe gry. Nauczyciela nie da się zrozumieć, bo ma złe łącze i grupa niczego nie słyszy. Musieliby mieć niesamowite szczęście, żeby ten krzyż do niesienia dostał ktoś, kto jest w stanie wykrzesać z siebie jakąkolwiek pasję w

piątkowy wieczór.

Szczęśliwie, to już nie mój problem, tylko ludzi żal. Powinni pewnego dnia postawić pomnik ofiarom terroru edukacji, z naciskiem na styk sektora prywatnego z publicznym. Duża jego część należy się moim uczniom z piątkowych wieczorów.

“HOW WAS ONLINE TEACHING?”



źródło: <https://www.weareteachers.com/teacher-memes-school-reopening/>

Cyberpunk 2020-2021

Uczenie online to największa zmiana, jaka dokonała się w edukacji od dekad. Od marca, z małą przerwą na wrzesień-październik, miałem tę przyjemność, więc pozwalałam sobie uważać, że coś już o tym wiem. Co jakiś czas czytam różne rzeczy w mediach, z jednymi się zgadzam, z drugimi nie. Zebrałem swoje refleksje, które dotyczą uczenia angielskiego w dwóch różnych krajach i obejmują grupy wiekowe od 8 do 15 roku życia, a także dorosłych.

Początki zdalnej edukacji były całkowitym chaosem. Mało która szkoła miała doświadczenie i narzędzia do uczenia online, a sami nauczyciele w przeważającej większości za wiele o tym nie wiedzieli. Zjawisko istniało sobie na marginesie 'normalnego' uczenia, znałem kilka osób, które dorabiało uczeniem chińskich dzieci i japońskich dorosłych. Dla przeważającej większości z nas, sprawa była całkowicie nowa. Przed 12 marca 2020 roku nie wiedziałem nawet, że istnieje jakiś Zoom. Obecnie jest to jedno z najczęściej używanych przeze mnie słów.

Jednak w marcu 2020 siedzieliśmy grupą współpracowników, drapaliśmy się po jajach i zastanawiali, co to jest waiting room, co to jest breakout room, a co to dzielenie ekranu i dlaczego nie działa. Okazało się też, że nie wszyscy umieją w komputer na poziomie raczej podstawowym, więc musieli się ekspresowo poduczyć. Głównym narzędziem walki o edukację był właśnie Zoom, który w ciągu kilku następnych miesięcy przeszedł chyba ze sto aktualizacji. Na początku była pewna ekscytacja: praca z domu, bez dojazdów, odpada drukowanie i noszenie papierów, do tego na siedząco. Dość szybko okazało się, że minusy przysłaniają plusy. Pierwsze lekcje online się nie odbyły, bo okazało się, że nikt nie był w stanie się zalogować. Schrzaniono kombinację numerów spotkań i loginów dla uczniów. Potem zaczęło to jakoś iść, ale dość opornie. Najfajniejsze było wysyłanie uczniów do pracy w parach, a potem odkrywanie, że połowę wylogowało, więc druga połowa siedzi samotnie i woła cię, bo nie wie co zrobić. Ty też nie wiesz, więc panicznie przesuwasz ich między pokojami, w trakcie tego procesu kolejnych wywala, karuzela śmiechu kręci się na całego. Miałem lekcję, w której z ośmiu osób w pewnym momencie wylogowało sześć. Przy dobrym dniu z 90 minut lekcji traciło się 20. Po jakimś czasie zacząłem uwzględniać te poślizgi w planowaniu, bo początkowo nie szło zrobić więcej niż połowy tego, co zrobiłoby się w klasie. Z dorosłymi na poziomie Upper Intermediate to jeszcze wyjaśnisz jakieś technikalnia, a po paru miesiącach Zoom zaczął dobrze działać, więc przestało ludzi permanentnie wywalać i lekcje zaczęły wyglądać względnie normalnie. Jednak dopiero uczenie dzieci obnażyło horror zdalnej edukacji.



Czekając na Godotów (źródło:

<https://educationtothecore.com/2020/06/17-totally-relatable-distance-learning-memes/>)

Jeżeli rodziców nie było w pobliżu – a większość straciła zainteresowanie po jakichś dwóch tygodniach - to dochodziło do sytuacji patowych. Uczeń nie słyszy, bo ma wyłączony dźwięk, więc piszesz mu w czacie, żeby go włączył, on nie umie otworzyć czatu, więc rozpoczynasz pantomimę, inni ci pomagają, dwie minuty machania rękoma, a efektów zero. Lekcja w lesie, wszyscy już zapomnieli, co robiliście, bo trwa walka z tym, że ktoś sobie wyłączył kamerę. Na początku przerażenie: jezu, uczeń nie korzysta z lekcji, będą skargi i mnie wyrzucą z roboty. Potem już tylko wściekłość: trzy razy wyjaśniałem jak włączyć mikrofon i głośniki, a oni dalej nie potrafią. Ileż można?

Mówi się, że obecne pokolenia to rodzą się z tabletem w ręce, że internet to ich środowisko naturalne. Dla przeważającej większości cała cyfrowa natywność sprowadza się do klikania postów na Insta i

videł na TikToku. Na kilkudziesięciu uczniów miałem jednego, który interesował się systemami operacyjnymi i rozróżniał dystrybucje Linuxa. Okazało się, że był finalistą jednej z olimpiad informatycznych. To wyjątek. Przeważająca większość młodzieży, która przewinęła mi się przez lekcje, nie wiedziała, że pliki mają rozszerzenia. Zjawisko jest międzynarodowe, przy czym we Włoszech było jeszcze gorzej niż w Polsce. Moich polskich uczniów po jakichś dwóch miesiącach nauczyłem używania np. Jamboard do robienia prezentacji, wielu umiało sklecić coś w Powerpoincie, więc zadania domowe można było prezentować całej grupie. We Włoszech po dwóch miesiącach najbardziej rozgarnięte jednostki osiągają poziomy przeciętnych polskich uczniów po miesiącu bycia online – a przecież spędzili całą wiosnę ucząc się w ten sposób. Myślałem, że może demonizuję, ale podobne odczucia mieli koledzy i koleżanki z innych krajów. Modelowy włoski uczeń nie był w stanie przełączyć okien przeglądarki, otworzyć pliku, a nauka używania Jamboarda zajęło około dwóch miesięcy. Gdy robiliśmy test online używając Google Forms, to mimo tego, że większość miała ww. Google Forms po włosku, to paru osobom udało się kliknąć „wyczyść formularz” zamiast „wyślij formularz”.

W ogóle pomysł testowania online był chory, ale ponieważ uczniowie mają obiecanne trzy testy w roku, no to pierwszy dostali w tej uroczej formie. Średnia wyników: 20-30% niższa niż testów robionych tradycyjnie. Gdybym uznał te rezultaty za miarodajne, to musiałbym cofnąć jakieś 90% uczniów o jeden poziom. Ponieważ nie bardzo można powiedzieć rodzicom „dzięki temu, że płacą państwo w cholerę za prywatną szkołę, państwa dziecię się cofnęło w rozwoju”, to wyniki testów utajniono. Podczas spotkań z rodzicami nawijano im makaron na uszy tekstami w stylu „rokuje dobrze na egzamin”. I widzisz, że dziecko zrobiło 36% i myślisz sobie, że dobrze nie będzie.

Do ogródka horroru zdalnej edukacji dokładało się też to, że nie wszyscy managerowie opanowali arkana tej sztuki. Przez kilka miesięcy prosiłem o to, żeby kolejne lekcje ustawiono mi jako cykliczne i dodano do kalendarza – w Warszawie osiągnęliśmy taki stopień organizacji na etapie maja. W Kalabrii się nie dało. Prosiłem również o włączenie ankiet – dość fajna rzecz do np. sprawdzania odpowiedzi czy zwykłego głosowania. To też się nie udawało, więc ankiety robiłem w czacie, co głupio zajmowało czas. W pewnym momencie przestałem nawet o to pytać, bo zrozumiałem, że nasza kadra nie umie tego zrobić, a oczywiście nie daliby mi danych głównego konta, żebym sobie sam to zrobił. No więc nie działało, nie było i tyle.

Ucząc w Polsce nie byłem świadom jak wielką mam przewagę: w dramatycznych momentach przechodziłem na polski i wyjaśniałem, że enter to ten klawisz ze strzałką skręcającą pod kątem prostym. Po włosku umiem sobie kupić tytoń, pandoro i piwo, ale nie wyjaśniać zawłości Zooma dziewięciolatkom. O ile uczenie dorosłych powyżej A2 online całkiem fajnie wychodzi, o tyle niżej jest bardzo różnie. Moja koleżanka miała nieprzyjemność zdalnego uczenia dzieci w wieku 4-6 lat. To już jest absolutna fikcja. Niektórzy z moich 9-11 latków nawet coś tam zyskiwały i łapały, ale przeważająca większość po prostu zabija czas patrząc na różne ćwiczenia, które dostawali. Jeżeli ćwiczenia nie podobało się, to uczeń znikał na kilka minut. Jeżeli miałem bardziej zdeterminowany dzień, to wywoływałem, odpowiadała nierzadko czerń wyłączonej kamery i cisza.

Zadania domowe to była w większości przypadków praca pozorowana. Dowiedziałem się, że za dużo wymagam, więc przestałem próbować zadawać rzeczy online, które mógłbym naprawdę sprawdzać. Dawałem więc ćwiczeniówkę, no ale że ćwiczeniówki nie jestem w stanie zobaczyć, to diabli raczą wiedzieć, co moi uczniowie czynili i ilu z nich naprawdę to robiło. Znaczy wiedziałem, bo dość dobrze widziałem podczas sprawdzania kto zrobił, a kto nie. Gdybym zadał prezentacje w Powerpoincie, to od razu byłyby skargi, że co ja wymagam, że to dzieci, że nie można.

Ba, ja nawet nie mogłem zadawać pisania w edytorach tekstu, bo to przecież dzieci. Niektórzy pokazywali do kamerki, że coś tam popisali w zeszyte, ale nie byłem w stanie powiedzieć dokładnie co. Książki, których używaliśmy, przeznaczone są do uczenia pysk w pysk.

Da się to wszystko adaptować i zmieniać, ale zajmuje to czas i wymaga współpracy drugiej strony. Tej zazwyczaj nie ma, więc niektóre moje lekcje są gorsze niż te, których uczyłem w pierwszym roku kariery.

Chciałbym powiedzieć, że miałem na to wyjebane, ale nie miałem, bo szkoda mi było czasu uczniów, pieniędzy ich rodziców, a także mojego czasu na kopanie się z koniem. Brak jakiegokolwiek wsparcia ze strony przełożonych dokładał się do frustracji. Szkolenia w temacie uczenia online obnażały indolencję.



źródło: <https://besty.pl/tag/lekcje>

Rekord padł, gdy jedna przełożona powiedziała, że nie umie zmienić tła na Zoomie. Chyba każdy mój uczeń powyżej 10 roku życia umiał. Potem zaś ta pani pojawiała się i obserwowała moje lekcje. Trochu śmieszne, trochę straszne.

Satysfakcja z uczenia dzieci potrafi być ogromna. Satysfakcja z uczenia dzieci online jest bliska zeru, a właściwie osiąga wartości negatywne. Cuda płatnej edukacji powodowały jednak, że musiałem tworzyć tę fikcję przez jakieś 16 godzin w tygodniu. Lepsze dla rozwoju moich uczniów byłoby, żeby w końcu poszli sobie pokopać w piłkę albo nawet pograli w coś na komputerze. To jednak nie było możliwe, lekcje muszą się odbyć, więc się odbywają.

Nastolatkom uczestniczyć w lekcjach się nie chce, bo cała sytuacja trwa zbyt długo. Brakuje im możliwości powydurniania się z kolegami, więc chociaż zazwyczaj mają oni jakieś tam zdolności informatyczne, o tyle nie mają oni pasji i chęci do robienia

czegośkolwiek. Ćwiczenia, które w klasie zajęłyby kilka minut, potrafiły stać się wirtualnymi dramatami na oceany czasu. W Warszawie absolutnym horrorem było wyłączanie kamer. Zabroniono nam wymagać obrazu (bo może uczniowie nie chcą pokazywać domów), więc czasem nawet nie wiedzieliśmy, czy zalogowany uczeń naprawdę tam jest. We Włoszech teoretycznie mieli obowiązek mieć włączone kamery, ale na to uczeń mówił, że ma słaby internet i że musi siedzieć bez obrazu. To było o jedno piętro lepiej niż w Polsce, bo zazwyczaj jak powiesz, że mają włączyć, to włączą. Jest trochę rzeczy, które fajniej wychodzą, gdy wszyscy są na necie, ale tu słowem-klucz jest KOMPUTER. Ja rozumiem, że nie każdy jest bogaty, ale mamy rok 2021 i nie wydaje mi się, że komputer jest jakimś dobrem luksusowym, a na litość boską, nie da się wiele zrobić na telefonie! Tablet trochę lepiej, chociaż też źle, ale nie cholerna komórka!

Niestety, świat jest jaki jest, żadna ze znanych mi szkół nie wprowadziła wymogu logowania się komputerem, więc jeżeli ktoś upiera się na telefon, no to jest telefon. Uważam za krańcowo obraźliwe dla mnie logowanie się do lekcji np. z pociągu lub samochodu. Telefon, przerywany zasięg, oczywiście pacjent nie jest w stanie niczego zapisać, podręcznika nie ma, a w tle szumi tak, że już nikt niczego nie

słyszcy. A potem rodzice jeszcze piszą do szkoły, że dziecko się mało nauczyło. Zaskakujące. Zarówno w Polsce jak i we Włoszech poruszaliśmy te tematy z kierownictwem. Niestety, prywatna edukacja koncentruje się na pieniądzach, więc nikt nie powie rodzicom „albo państwa dziecko będzie miało warunki do zdalnej nauki, albo won”, tylko mówi się nauczycielom „ale motywujcie ich bardziej!”. Dopełnieniem komedii są obserwacje online. Żadna ze znanych mi szkół nie ma napisanych standardów do obserwacji lekcji online, tak więc wszystko robione jest tak, żeby obserwacja się odbyła, papier został wypełniony i amen. Dwukrotnie byłem obserwowany przez ludzi, którzy mają mniej doświadczenia ode mnie w uczeniu online – bo tak jakoś się złożyło, że gdy managerowie zobaczyli, jaką orką na ugorze jest praca z dziećmi online, to zrobili wszystko, żeby mieć tej jak najmniej. Po jednej z lekcji polecono mi zapoznanie się z artykułem. Fajny, tylko szkoda, że odnosił się do uczenia w klasie. Kiedy indziej okazało się, że inna menedżerka nie wiedziała, że można układać sobie użytkowników według potrzeby, czy też wrzucić kogoś na prezentującego dla całej grupy. Każdy się uczy całe życie, tylko nie bardzo mnie cieszy, że ma komentować moje wyczyny w zakresie zdalnej edukacji.

Innym obliczem dramatu zdalnej edukacji jest strach przed covidem. Paraliżuje on wielu i w efekcie moi managerowie przestali pojawiać się w szkole, bo pracowali z domu. Pisałem więc wiadomości, wiele z nich pozostało bez odpowiedzi, a ja robiłem wielką improwizację, która czasami była wielką kompromitacją. Ja przeszedłem stosunkowo mało poraniony, ale parę osób przeprowadziło złe testy, inni nie mogli ich przeprowadzić kiedy trzeba. Oczywiście im większy burdel, tym bardziej odłamdami dostawał nauczyciel. Strach przed covidem zelżał, gdy były spotkania świąteczne. Dodam jeszcze, że szeregowi nauczyciele mają trochę godzin w szkołach publicznych, których duża część odbywała się w klasach. Nas jednak strach przed covidem nie obowiązywał, więc tygodniowo spędzałem 120 minut w państwowej szkole, 22 osoby w klasie, setki na korytarzach. Pewnego dnia okazało się, że muszą ich zamknąć, bo zaraza. Zapewniono nas, że to nie była osoba, z którą mieliśmy kontakt. Poczułem się bardzo uspokojony. Koleżanka miała przedszkole z dziećmi, które wałęsały się w gacie. Ona też nie mogła powiedzieć, że jednak wolałaby nie widywać dzieci, które jeszcze wsadzają sobie ręce do ust i mogą być nośnikami zarazy. Jednak kierownictwo przyjść do pracy nie mogło (a gdy przychodziło to robiło z tego festiwal heroizmu). Pracujący w innej branży kolega przemówił pewnego dnia do swych przełożonych: Covid zaraz się skończy i już nie będziemy mogli przykrywać naszej nieudolności pandemią. Powiedziałem pewnego dnia plus minus to samo.

Jedynym pozytywem całej sytuacji byli dorośli, którzy chcieli być online. Niektóre z wyżej wymienionych problemów przewijały się, ale ogólnie wszystko działało. Miałem jedną grupę, w której bawiłem się świetnie, oni chyba też i naprawdę robiliśmy wszystko jak trzeba. Druga, w której dało się żyć, no ale oni byli na poziomie Elementary, więc to cud, że cokolwiek z nimi działało w takich warunkach. Podobnie rozłożyło się to w Polsce: jedna z moich grup dorosłych była super online, druga słabsza, ale jeszcze akceptowalna. Czyli jakaś 1/8 czasu pracy do czegoś się nadaje, 1/8 powiedzmy, 6/8 to męka.

Innym obliczem zdalnej edukacji jest robienie zajęć o chorych godzinach. Nigdy w życiu nie uczyłem nastolatków od 19 do 20:30. W piątek wieczorem. No ale skoro z domu, to przecież mogą się logować o każdej godzinie. Kusiło mnie zrobić debatę: kto z nas ma mniejszą ochotę uczestniczyć w tych zajęciach? Nie jestem pewien, czy bym wygrał, czy jednak oni. Ci szczęśliwcy mieli jeszcze takie bloki z historii w czwartki i z matematyki we wtorki. Paradoksalnie lekcje nie wychodziły okrutnie źle, bo wszyscy siadaliśmy do nich tak załamani, że potem się dziwiliśmy, że cokolwiek nam się udawało zrobić.

Chciałbym zakończyć jakimś optymistycznym akcentem, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Na chwilę obecną wszystko wskazuje, że cuda zdalnej edukacji pozostaną w szkołach do końca roku. Współczuję wszystkim uczniom, którzy muszą logować się i odbywać zajęcia online. Zapóźnienie

związane z tym modelem nauki po roku stało się przerażające. Najbardziej współczuję nastolatkom, którzy w normalnym świecie mogliby spędzać czas na poznawaniu nowych ludzi, chodzeniu na randki, popełnianiu błędów młodości, piciu jednego piwa na trzy osoby, czy na innych czynnościach, które pozwalają uciec od świata rodziców i zrozumieć, kim chciałoby się zostać w dorosłości, a kim na pewno nie chce się być. Zamiast tego siedzą przed ekranem, psują sobie wzrok i dostają schorzeń kręgosłupa. Myślę, że psychiatria dziecięca będzie zbierała żniwa zdalnej edukacji przez kolejne lata.



źródło: Bill Whitehead,
<https://www.pinterest.it/pin/351843789640831815/>

Pesce Spada

Różne miejsca na świecie mają różne obsesje. Kraków precle, a Warszawa obwarzanki. Walka o prymat piw regionalnych niesie ze sobą hektolitry ofiar każdego weekendu. W Gruzji krainy biją się o to, który robi najlepsze wino. We Włoszech regiony również walczą o status najlepszego wina lub oliwy.

Poza Kalabrią.

Kalabria robi kiepskie wina, więc nawet nie próbuje włączyć się w starcia Piemontu z Toskanią. Znalazła sobie jednak swoją niszę. Ramie w ramię walczy z Sycylią o status najlepszego miecznika. Obsesja przybiera różne wymiary.



Nie wiadomo, czy to Gianni, czy Ferdinando



Nie każdemu będzie dane zakosztować spady!

Są tej kalabryjskiej pasji pewne efekty. Gdy byliśmy w Rzymie i omawiali menu w restauracji, kelnerka zasugerowała miecznika.

- *Proszę pani, my właśnie przyjechaliśmy z Kalabrii.*

Propozycja miecznika została wycofana. Kalabria słynie ze wspaniałego miecznika i Rzym nie ma do niego startu.



Z kolegami z bajorka

Synem Kalabrii jest/był Diego Vitrioli. Napisał on w 1845 dzieło pod tytułem "Xiphias", czyli miecznik. Niestety, wersji polskiej nie stwierdziłem, ale podobno traktuje to o - niespodzianka! - mieczniku przepływającym przez Cieśninę Mesyńską.



Jaki region, taki Dante...
(https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Xiphias_Carmen.pdf)



Brama do miecznikowego raj



Zamiast LEGIA PANY



Dekoracja świąteczna.



Miecznik z lodami cytrynowymi?! Dzieci płakały...

Piosenkarka Mia Martini urodziła się w Kalabrii, konkretnie w Bagnara. Ku jej czci postawiono ołtarzyk. Przy wejściu do niego znajduje się taka perła rzeźby współczesnej.



Tak należy postępować z rybami



Nikt nie zrozumie miecznika w logotypie...



Najlepszych przyjaciół poznaje się w ciężarówce chłodniczej

Sezon na miecznika trwa od kwietnia do października. Wtedy często można zobaczyć takie widoki.



Corpus delicti

Potem świeży miecznik znika. Aż nadchodzą święta i powraca w nastroju bardziej optymistycznym.



*Mój piękny mieczniku raz zobaczony w sklepie
rybnym...*

Jeżeli chodzi o smak, to jest w porządku, ale bez szału. Jest mało wyrazisty, za to dość dobrze wchłania sosy w stylu sojowego lub ostre przyprawy.



Zamiast lodów



Malarz płakał jak malował (albo jadł miecznika)

Dla odmiany postanowiliśmy załączyć parę zdjęć miecznika.



Pikielhauba, edycja kalabryjska



Non omnis moriar